899 III / 2001

ISSN 1427-6720

Pionierzy

NR 1(14) 2001 ROK VI
ZIELONA GÓRA
Cena 2 zł

CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

2001
1-2

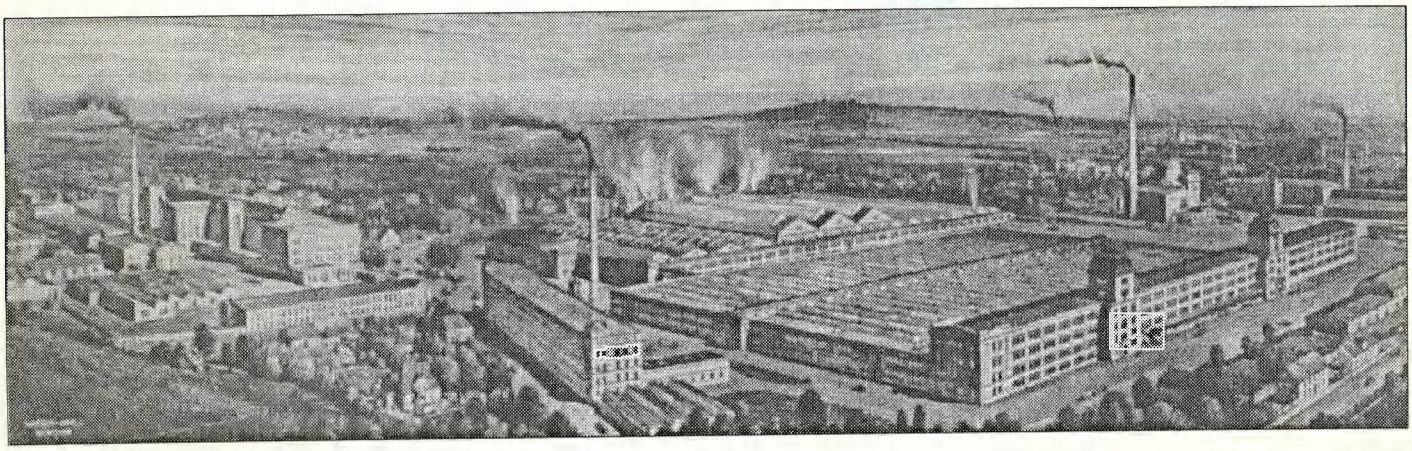

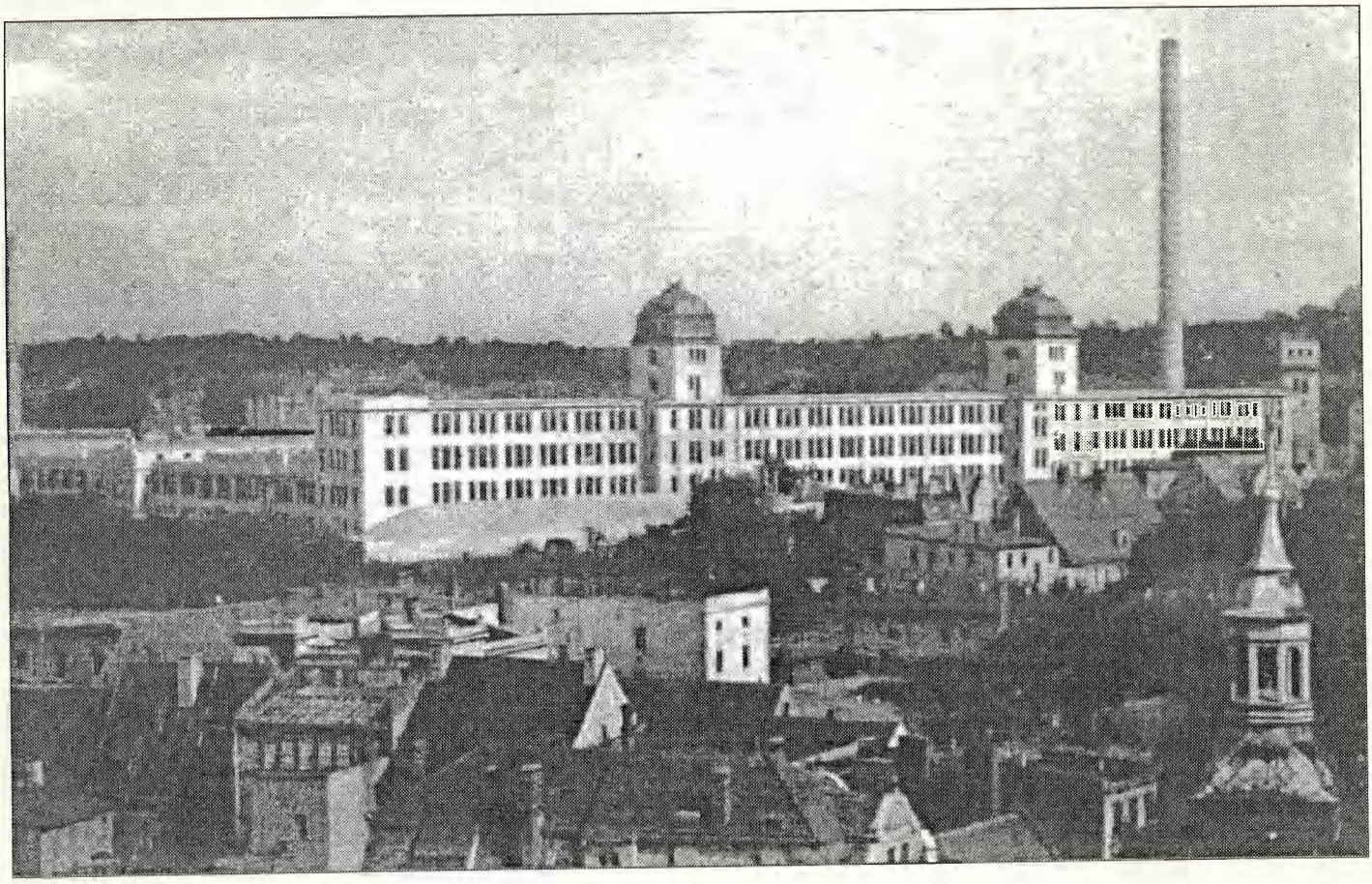

* *Wspomnienie o Janie Lembasie*
* *Koleje losu*
* *Lubuska prasa*
* *Pierwsze telefony*
* *Opowiadanie o pogodzie*
* *Ciekawostki przyrodnicze*

Spacer pod arkadami

Przez noc pójdziemy razem
zagrasz mi na gitarze
gwiaździstą serenadę
chodź

Nie lękaj się zegara
tam dalej drży neonów
feeria wystraszona

Pod arkadami ciemno
i gwiazdy tabunami
legły w witrynach sklepów
wybierzemy wspólnie
złocistą zimną kroplę

Nie bój się księżyca
zabłąkanego w mieście
chodź

Zenon Czarnecki

Pionierzy
CZASOPISMO SPOŁECZNO-HISTORYCZNE

Wydawca:
Sekcja Historyczna Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry, ul. Stary Rynek 1, Ratusz – Sala Wspomnień, 65-067 Zielona Góra.

Redakcja:
Redaguje Kolegium w składzie: Maria Gołębiowska, Wiesław Nodzyński, Tomasz Nodzyński, Wojciech Strzyżewski.

Adres Redakcji:
ul. Stary Rynek 1, Ratusz – Sala Wspomnień, 65-067 Zielona Góra

Korekta:
Ewa Przygoda

Druk:
Drukarnia „EURODRUK" Zielona Góra

Na okładce:
„Deutsche Wolle Manufaktur", późniejsza „Polska Wełna" w latach trzydziestych

Materiałów nie zamawianych redakcja nie zwraca. W materiałach nadesłanych redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania zmian redakcyjnych. Za treść reklam redakcja nie odpowiada.

Oddajemy w ręce Czytelników kolejny numer „Pionierów", a w nim:

Marian Pietrzak przypomina sylwetkę Jana Lembasa, długoletniego przewodniczącego Prezydium WRN w Zielonej Górze, wojewody zielonogórskiego.

Małgorzata Twarowska wspólnie z panią Anną Łukaszewicz (z domu Pociej) opowiadają o barwnej postaci, jaką niewątpliwie był znany zielonogórski prawnik Marian Łukaszewicz.

Zdzisława Kraśko kreśli dzieje Harcerskiego Szczepu Grunwald, z którym związana była bez mała cała jej rodzina.

Jadwiga Kolibabka kończy swą opowieść o rodzinnym Pińsku, zamykając ją wierszem:

A może wcale nie było Pińska,
Był tylko czar?
Który urokiem zamącał serca
Rozniecał żar.
Nie to nieprawda!
To nie ten czas.
My istniejemy i Pińsk jest żywy
On mieszka w nas!

Wiesław Nodzyński pisze o początkach prasy polskiej na Ziemi Lubuskiej po wojnie.

Grzegorz Chmielewski czerpiąc z „Przygód Bibliofila" przypomina sylwetkę Szymona Syreniusza, autora pięcioksięgu zatytułowanego „Zielnik, który herbarzem z łacińska zowią".

Wiktor Strzyżewski pisze o początkach telekomunikacji w Zielonej Górze po wojnie.

Jan Muszyński opowiada o dziejach swojej rodziny, zanim zapuściła korzenie w Zielonej Górze.

Jan Łatwiński przedstawia kolejną propozycję wycieczki po okolicach Zielonej Góry.

Jan Lembas

długoletni przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej wojewoda zielonogórski

Jan Lembas związał się z administracją byłego województwa zielonogórskiego od jego powstania w 1950 r. Wielu mieszkańców województwa, szczególnie ze starszego pokolenia, dobrze go pamięta, przede wszystkim z okresu szefostwa w wojewódzkiej administracji, to jest pełnienia w tym czasie funkcji przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej, a następnie wojewody zielonogórskiego. Należy nadmienić, że funkcję tę pełnił najdłużej w porównaniu do innych osób pracujących na tym stanowisku na Ziemi Lubuskiej.

Jan Lembas urodził się 16 maja 1914 roku w podkrakowskiej miejscowości Swoszowice, w rodzinie robotniczej. Ojciec Jakub był działaczem Polskiej Partii Socjalistycznej w Krakowie, zmarł w 1938 r. Jan Lembas po ukończeniu szkoły powszechnej i gimnazjum, od 1932 r. do czasu powołania go do czynnej służby wojskowej pracował w Towarzystwie Ubezpieczeniowym „Feniks" w Krakowie, początkowo w charakterze woźnego, później pracownika umysłowego.

Powołany do wojska 20 stycznia 1937 roku służył w kompanii łączności 5. Batalionu Telegraficznego w Krakowie, wchodzącego w skład 6. Dywizji Piechoty. W wojsku ukończył dywizyjną Podoficerską Szkołę Łączności. Został zwolniony z wojska 14 września 1938 roku w stopniu plutonowego. Z powodu trudności w znalezieniu stałego zatrudnienia, podjął nadarzającą się pracę jako robotnik sezonowy w Państwowej Szkole Przemysłowej w Krakowie.

25 sierpnia 1939 roku został zmobilizowany do tej samej jednostki wojskowej, w której poprzednio służył i jako dowódca stacji łączności w kompanii łączności wchodzącej w skład Armii „Kraków" brał udział w kampanii wrześniowej. W czasie walk w rejonie Tomaszowa Lubelskiego dostał się do niewoli niemieckiej. Po udanej ucieczce z niewoli wrócił do Krakowa i przez cały okres okupacji, od 1940 roku do czasu wyzwolenia miasta w drugiej połowie stycznia 1945 roku pracował w kilku przedsiębiorstwach miasta jako pracownik fizyczny. Między innymi zatrudniony był w latach 1940-1943 w Miejskich Zakładach Kąpielowych, od 1943 roku do 1944 roku w Fabryce Margaryny i od 1944 roku do początku 1945 roku w Fabryce Gwoździ. Według przekazu ustnego pracownika wojewódzkiej komisji kontroli partyjnej w Zielonej Górze był w czasie okupacji członkiem AK.

Wkrótce po wyzwoleniu Krakowa powołano go ponownie do wojska i jako doświadczonemu podoficerowi o specjalizacji łącznościowca powierzono stanowisko instruktora łączności w podoficerskiej szkole 44. Pułku Piechoty w Tarnowskich Górach. W grudniu 1945 roku został zdemobilizowany.

W związku z udziałem władz miasta Krakowa w organizowaniu zasiedlania Ziem Zachodnich, w pierwszych dniach stycznia 1946 roku skierowano Jana Lembasa do pracy w administracji na Dolnym Śląsku. Osiedlił się w Namysłowie i w latach 1946-1948 pracował w Wydziale Powiatowym, początkowo jako rachmistrz, później na innych stanowiskach związanych z działalnością finansową. Jednocześnie w roku 1948 podjął zaoczne studia w Wyższym Studium Prawa Administracyjnego we Wrocławiu, które ukończył w 1950 roku. Należy sądzić, że osiągnięcia w dotychczasowej pracy w administracji oraz podjęcie zaocznych studiów spowodowało zainteresowanie się jego osobą jako kandydatem na wyższe stanowisko w administracji ze strony nadrzędnych władz. W końcu 1948 roku zaproponowano Janowi Lembasowi stanowisko wicestarosty w powiecie kożuchowskim, które objął w styczniu 1949 roku. W rzeczywistości pełnił obowiązki starosty z powodu nienormalnej sytuacji kadrowej w Kożuchowie. Toteż po wprowadzeniu jednolitych organów władzy terenowej, w czerwcu 1950 roku powierzono mu stanowisko przewodniczącego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Kożuchowie, późniejszym powiecie nowosolskim, powstałym w wyniku przeniesienia siedziby władz powiatowych z Kożuchowa do Nowej Soli. W czasie pracy w tym powiecie był również członkiem Egzekutywy Komitetu Powiatowego PZPR.

W dalszej pracy, tym razem w kierowaniu administracją szczebla powiatowego, osiągnął widocznie znaczne postępy, skoro podczas pobytu na kursie przewodniczących prezydiów powiatowych rad narodowych w Józefowie w 1952 roku, otrzymał ze strony przedstawiciela Rządu propozycję przejścia do pracy w administracji stopnia wojewódzkiego. Propozycję przyjął i wyraził zgodę na objęcie stanowiska w wojewódzkiej administracji w Zielonej Górze. W związku z rezygnacją Józefa Ziarnkowskiego z funkcji sekretarza Prezydium WRN, złożonej w czasie IV sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze w dniu 26 kwietnia 1952 roku, stanowisko to radni powierzyli Janowi Lembasowi. Na nowym, znacznie trudniejszym i bardziej odpowiedzialnym stanowisku przepracował niecałe dwa lata.

Praca ta wymagała nie tylko odpowiedniego doświadczenia, ale i coraz większej i głębszej wiedzy. Toteż następny, dwuletni okres w życiu Jana Lembasa zajęły studia w Centralnej Szkole Partyjnej PZPR w Warszawie, które trwały od 1 października 1954 roku do 8 listopada 1956 roku. Zakończyły się wcześniej z powodu dokonujących się przeobrażeń społeczno-politycznych w kraju w drugiej połowie 1956 r., a szczególnie po VIII październikowym Plenum KC PZPR i potrzebą wcześniejszego skierowania słuchaczy do pracy na różne stanowiska w kraju. W przemianach tych na uczelni wraz z grupą aktywnych słuchaczy uczestniczył również Jan Lembas. Po zakończeniu studiów, w listopadzie wrócił do Zielonej Góry.

W województwie zielonogórskim, podobnie jak w całym kraju, dokonywały się również przemiany społeczno-polityczne i gospodarcze. Odzwierciedleniem postępujących zmian, między innymi w świadomości mieszkańców województwa, była VI sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze w dniach 25-26 października 1956 roku. Burzliwa, bardzo krytyczna dyskusja obejmowała wiele dziedzin dotychczasowego życia społeczno-politycznego i gospodarczego województwa. Kontynuacją tej dyskusji była VII sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej w dniu 5 grudnia 1956 roku, która już w sposób przemyślany dokonała nie tylko krytycznej oceny dotychczasowej pracy wojewódzkich władz, ale poczyniła zasadnicze zmiany w składzie osobowym Prezydium WRN. Przyjęto rezygnację kilku osób z funkcji członków Prezydium WRN, a na ich miejsce wybrano nowych zgłoszonych kandydatów. Zaakceptowano także rezygnację ze stanowiska przewodniczącego Prezydium WRN Szczepana Jurzaka, który nie tylko ze względu na krytyczną ocenę jego pracy, ale przede wszystkim ze względu na wiek i stan zdrowia postanowił przejść na emeryturę. W czasie dyskusji zyskała aprobatę radnych kandydatura Jana Lembasa jako osoby pochodzącej z terenu województwa zielonogórskiego, a nie „przywiezionej w teczce z zewnątrz", osoby dobrze znanej z poprzedniej pracy na stanowisku sekretarza Prezydium WRN. Dyskusję potwierdziło głosowanie radnych nad kandydaturą. W wyniku opisanych przemian, w grudniu 1956 roku Jan Lembas objął urząd przewodniczącego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze, który pełnił 17 lat, to jest do grudnia 1973 roku.

W 1973 roku nastąpiła reorganizacja terenowej administracji państwowej. Oddzielono funkcje rad narodowych od pracy organów wykonawczych stopnia powiatowego i wojewódzkiego, wprowadzając urząd starosty i wojewody. W dniu 17 grudnia 1973 roku na I sesji nowej Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze, wybranej w wyborach powszechnych 9 grudnia, obok ukonstytuowania się władz WRN wyrażono opinię o zaprezentowanym kandydacie na wojewodę zielogórskiego. Uczestniczący w sesji wicepremier Zdzisław Tomal na wniosek Prezesa Rady Ministrów przedstawił kandydaturę Jana Lembasa na stanowisko wojewody. Uzasadnił wniosek tym, że kandydat jest powszechnie znanym i cenionym działaczem państwowym, posiada duże doświadczenie w pracy i zdolności organizatorskie. Wniósł poważny wkład w rozwój społeczno-gospodarczy i kulturalny Ziemi Lubuskiej. W jawnym głosowaniu Rada wyraziła pozytywną opinię o kandydacie na wojewodę. Od grudnia 1973 roku, w ciągu siedmiu lat, Jan Lembas sprawował urząd wojewody zielonogórskiego, do czasu przejścia na emeryturę. Łącznie z poprzednim stanowiskiem kierował administracją wojewódzką 24 lata.

W omawianym okresie inicjatywa i działalność organizatorska przewodniczącego, a następnie wojewody J. Lembasa, przejawiała się w wielu dziedzinach: gospodarczej, społecznej i kulturalnej. Natomiast mniej angażował się w działalność polityczną. Już w pierwszych latach urzędowania wspierał rozwój osadnictwa repatriacyjnego i zagospodarowanie pogranicza. Zabiegał skutecznie o rozwój przemysłu, między innymi o budowę Huty Miedzi w Głogowie, Zakładów Mechanicznych w Gorzowie Wlkp., Nowity w Zielonej Górze i innych obiektów gospodarczych. Starannie przygotowane materiały przedstawiał na posiedzeniach Rządu oraz na posiedzeniach Komisji do spraw aktywizacji Ziem Zachodnich, której był członkiem. Wiele argumentów i propozycji przedstawionych przez J. Lembasa uzyskało poparcie premiera i niektórych ministrów. To spowodowano uruchomienie 17 nowych przedsiębiorstw, między innymi w Kostrzynie, Gubinie, Jasieniu, Iłowie, Lesznie Górnym, Słubicach, Żaganiu i Żarach. Przy jego poparciu rozwijały działalność towarzystwa regionalne sfederowane w Lubuskim Towarzystwie Kultury. Rezultatem osobistych starań Lembasa w rządzie było utworzenie w Zielonej Górze dwóch wyższych uczelni: Wyższej Szkoły Inżynierskiej w 1965 roku i Wyższej Szkoły Pedagogicznej w 1971 roku oraz budowy obiektów tych uczelni, a także gmachu Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej. Ponadto był promotorem wielu innych przedsięwzięć gospodarczych i kulturalnych, dla których zdołał zjednać pozytywne stanowisko centralnych władz. Nie obawiał się podejmowania trudnych i odważnych decyzji. W swej działalności nie uniknął również błędów. Nie jest jednak celem opisanie w niniejszej, skromnej biografii znacznie większej ilości jego przedsięwzięć.

Piastując poważne stanowiska w terenowej administracji państwowej, należał również do PZPR od powstania partii. W latach 1956-1980 był członkiem Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Zielonej Górze. W charakterze delegata uczestniczył w kolejnych siedmiu zjazdach PZPR. Pełnił także wiele innych funkcji społecznych, np. przez wiele lat przewodniczącego wojewódzkiej Rady Przyjaciół Harcerstwa, przewodniczącego Wojewódzkiego Obywatelskiego Komitetu Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, przewodniczącego Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia, a od 1985 roku przewodniczącego Społecznego Komitetu Budowy Szpitala Wojewódzkiego w Zielonej Górze. Poza tym przewodniczył wielu komitetom organizacyjnym ważnych imprez kulturalnych i sportowych, np. Komitetowi Organizacyjnemu XIII Zjazdu Pisarzy Ziem Zachodnich.

W wyniku pogarszającego się stanu zdrowia i osiągnięcia wieku emerytalnego w roku 1980 przeszedł na emeryturę. Nie zrezygnował jednak z działalności społecznej. W marcu 1980 roku został wybrany posłem na Sejm VIII kadencji. W Sejmie działał w Komisji Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska, a w Zielonej Górze był sekretarzem Zespołu Poselskiego. Pracował również aktywnie w różnych podkomisjach sejmowych. Po zakończeniu kadencji poselskiej nadal działał w organizacjach społecznych.

Zmarł 6 maja 2000 roku w Zielonej Górze. Został pochowany na zielonogórskim cmentarzu przy ul. Wrocławskiej. Za długoletnią pracę w terenowej administracji państwowej i działalność w organizacjach społecznych otrzymał wiele odznaczeń, medali i wyróżnień państwowych oraz od organizacji społecznych. Był jednym z trzech osób (Edmund Apolinarski, Jan Lembas, Lech Wierusz) w byłym województwie zielonogórskim, którzy zostali wyróżnieni tytułem „Budowniczego Polski Ludowej". Poza tym otrzymał: Order Sztandaru Pracy I i II klasy, Krzyż Oficerski i Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Medale 10-lecia, 30-lecia i 40-lecia Polski Ludowej, Medal za Udział w Wojnie Obronnej 1939 r., Medal Zwycięstwa i Wolności, Złoty Medal za Zasługi dla Obronności Kraju, Medal za Zasługi w Ochronie Granic, Medal Komisji Edukacji Narodowej, Medal za Zasługi dla Obronności Cywilnej, Odznakę Zasłużonego Pracownika Rad Narodowych, Odznakę Zasłużonego Pracownika Państwowego PRL oraz Odznakę za Zasługi dla Finansów PRL. Otrzymał również wiele odznak i odznaczeń od organizacji społecznych, między innymi: Złotą Odznakę Zasłużonego Działacza Kultury Fizycznej, Odznakę Honorową PCK, I i II stopnia, Złotą Odznakę Związku Ochotniczej Straży Pożarnej, Złoty Medal Rady Ochrony Pomników, Złoty Krzyż ZHP. Był również wyróżniany odznaczeniami zagranicznymi.

Niniejszy biogram opracowano na podstawie: zespołu protokołów sesji WRN znajdującego się w Archiwum Państwowym w Zielonej Górze, zespołu akt KW PZPR znajdującego się w Archiwum Państwowym w Wilkowie oraz na podstawie następujących opracowań: Rocznik Lubuski, t. 11, poświęcony WRN, cz. 1-2, Zielona Góra 1981; Lubuscy Budowniczowie Polski Ludowej: Jan Lembas (opr. H. Szczegóła); Przegląd Lubuski, nr 1/4, 1986, s. 1-12.

Marian Pietrzak

Rozmowa z Panią Anną Łukaszewicz (z domu Pociej), wdową po znanym zielonogórskim prawniku Marianie Łukaszewiczu (c.d.)

Koleje losu

• Małgorzata Twarowska: Jak ułożyło się państwu życie, kiedy wiosną 1946 r. przyjechaliście do Zielonej Góry?

• Anna Łukaszewicz: Dostaliśmy przydział na czteropokojowe mieszkanie na drugim piętrze przy ul. Żeromskiego 11 (dzisiaj 16). Wówczas mieszkała tam pewna Niemka, zajmując to lokum już nielegalnie, gdyż była wysiedlona. Na początku mieliśmy tylko biurko i dwa materace, o które wystarał się mój brat w Urzędzie Repatriacyjnym, gdzie sprzedawano mienie poniemieckie. Rzeczy zakupione w urzędzie do dziś są w naszym mieszkaniu: to niektóre meble, sztućce, moździerz, kieliszki i żyrandole. Mąż jeszcze w tym samym roku otworzył kancelarię adwokacką, która mieściła się w jednym z naszych pokoi. Wówczas poznał wiele osób związanych ze środowiskiem prawniczym. Najbardziej znaną w tym kręgu postacią był Ludwik Grzybowski – senior zielonogórskiej adwokatury. Ale był też pan Matczyński – sędzia i prezes sądu, pan Markowski – prokurator, pan Wierzchowski – rejent, pan Halpern – adwokat. Przez tych znajomych poznawaliśmy ich znajomych i tak nasze grono wciąż się poszerzało. Poznaliśmy także wiele osób na stanowiskach urzędniczych; byli to: Adam i Maria Jodłowscy, państwo Tarnowscy, Janka i Luncio Podolscy, pan Marciński – pierwszy dyrektor Monopolu z żoną, państwo Maja i Tadeusz Gołębiowscy, jeden z pierwszych starostów zielonogórskich – pan Klementowski z małżonką, państwo Meszowie (burmistrz). Również z grona pedagogicznego: Halszka Sołowiejówna, Wanda Żurkówna oraz państwo Nalepowie (animator sportu), państwo Piaseccy (dyrektor geodezji) i po sąsiedzku państwo Bogaczykowie (księgarz). Mieliśmy także znajomych ze środowiska lekarskiego: doktorostwo Pieniężni, dr Mielnik z żoną, doktorostwo Serafińscy, doktorostwo Zgorzalewiczowie.

• M. T.: Wówczas modne było urządzanie domowych przyjęć. Jak wyglądały takie spotkania w kręgach zielonogórskich elit?

• A. Ł.: Zaczęło się od Ludwika Grzybowskiego, który wraz z żoną urządzał wspaniałe przyjęcia. Większość z naszych znajomych, również ja z mężem, urządzała je także u siebie.

• Dorota Łukaszewicz, młodsza córka pani Ani obecna przy rozmowie dodaje: Pamiętam, byłam wówczas małym dzieckiem, jakie były u nas przyjęcia. Pan Ludwik zawsze się spóźniał; z jego wyglądu najbardziej w pamięci utkwiły mi ogromne, krzaczaste brwi, które groźnie marszczył.

• A. Ł.: Okazje do organizowania takich spotkań były przeróżne: urodziny, imieniny, rocznice pożycia małżeńskiego lub różnego rodzaju święta.

Jedzenie przyrządzała u nas zamawiana przeze mnie kucharka oraz pani Dulat (znajoma jeszcze z Warszawy), która mieszkała nad nami. Wieczorne przyjęcia zaczynały się od przystawek i zakąsek, ale były też jaja garnirowane, pieczone schaby i zawsze jakiś dobry alkohol. Mój mąż specjalizował się w przyrządzaniu różnych nalewek: ziołówka – bardzo pomagała w trawieniu, mandarin – ginger, żubrówka, śliwowica na rumie. Kiedyś mąż schował jakiś dobry alkohol w pianinie i zupełnie o nim zapomniał. Dopiero po wielu latach przypadkiem odnalazł się, gdy pianino zgłosiliśmy do strojenia. Przyrządzał także wina z różnych owoców, krupniki, likiery jajeczne, miętowe, anyżowe, cacaochoix (czyt. kakao szua), jarzębinkę, nalewkę kawową. Smak wódki natomiast urozmaicały różne przyprawy, były to: anyż gwiaździsty, chleb świętojański, gałgan, kurkuma, kuleba. Ze wszystkich tych specjałów najlepszy był likier ziołowy „Anita" (nazwa pochodzi od mego imienia), wzorowany na likierze benedyktyńskim. Wszystkie te napoje podawano w dymionach – specjalnych, wielkich butlach przeznaczonych właśnie na alkohol.

• M. T.: Jak oprócz przyjęć urozmaicaliście sobie państwo wolny czas?

• A. Ł.: Od wiosny do jesieni urządzaliśmy majówki. Jeździliśmy do Sławy, Ochli, do Karolat (dzisiejsze Siedlisko), do Krępy i do Cigacic nad Odrę. Mąż często jeździł na ryby, zazwyczaj do Krępy i do Cigacic. Kompanem Mariana do uprawiania tego hobby był pan Kubica, dyrektor Zgrzeblarek.

• D. Ł. dodaje: Dwie z czterech córek pana Kubicy grały sekwencję z bliźniaczkami w „Czterech pancernych i psie".

• A. Ł.: Najczęściej spotkania towarzyskie wypełniały rozgrywki brydżowe lub szachowe. Często także chodziliśmy na bale organizowane w szkołach lub lokalach. Najbardziej uczęszczanym był wówczas lokal „Pod Orłem". Od czasu do czasu udawało się nam wyjechać na urlop zagraniczny (wczasy w Bułgarii) lub do znajomych mieszkających w Niemczech (do p. Szymańskiego z Drezna i p. Nitchkego – dyrektora podberlińskiej fabryki mebli). Mąż był także w Anglii u siostry; razem nie mogliśmy wyjechać, bo taka była polityka kraju: małżeństwom nie wolno było wyjeżdżać.

Poza tym, już w późniejszych latach, często jeździliśmy po zakupy do Niemiec. Odkąd kupiliśmy działkę w 1972 r., spędzaliśmy tam więcej wolnego czasu. Ponadto mój mąż lubił korespondować z wieloma osobami z całego świata, uprawiając korespondencję amicalną (amico – przyjaciel). Wysyłał swoje anonse do gazet esperantystycznych w wielu krajach i w tym języku korespondował, niejednokrotnie przechodząc później na język ojczysty swojego korespondenta. Wśród przyjaciół, z którymi wymieniał się swoimi spostrzeżeniami i poglądami byli: sekretarka królowej Grecji, dwaj Hiszpanie, Belg – kapelmistrz w orkiestrze dętej, Holender – konstruktor statków, Japończyk – nauczyciel angielskiego, pani Walkingschow – pół Polka, pół Niemka, zamężna ze Szkotem, ponadto Austriak, Chińczyk, Węgier, Jugosłowianin oraz Bułgar.

• M. T.: W jaki sposób potoczyła się w Zielonej Górze kariera zawodowa męża?

• A. Ł.: W zawodzie adwokata mąż pracował do 1952 r., kiedy to niesłusznie skreślono go z listy adwokatów. Rada Adwokacka w Poznaniu z siedzibą w Zielonej Górze w latach 1945-1950 wpisała na listę, oprócz męża, jeszcze siedmiu adwokatów; byli to: Ludwik Grzybowski (zm. 1975), Tadeusz Krasuski (zm. 1987), Bolesław Czeczot (skreślony w 1953 r.), Stanisław Idzik, Tytus Bohaczek (w Zielonej Górze do 1953 r.), Marian Halpern (zm. 1956), Alfred Morawski (wcześniej Merbaum, skreślony w 1969 r., wyjechał do Izraela).

Wyższa Komisja Kwalifikacyjna przy Ministerstwie Sprawiedliwości uzasadniając skreślenie męża z listy adwokatów zarzucała mu, że pracując w Zakopanem od 1940 r. w „stadkomisariacie" na stanowisku referenta prawnego, następnie kierownika personalnego, źle odnosił się do pracowników Polaków i utrzymywał zażyłe stosunki z hitlerowcami; tzw. działaczami – twórcami „Goralenvolku". Zarzut był absurdalny i zupełnie niezgodny z prawdą. Przede wszystkim mąż nie pracował w ogóle w „stadkomisariacie", tylko na równi z innymi Polakami był pracownikiem Zarządu Miasta. Z pracownikami miał dobre stosunki, nie utrzymywał żadnych kontaktów z Niemcami, a postawę dobrego Polaka uzasadniał swoim postępowaniem: w stosunku do biblioteki polskiej (ochrona polskich książek), do zakładu sierot (pomoc w zaopatrzeniu w żywność i bieliznę, obrona przed usunięciem sierocińca z zajmowanych pomieszczeń), do żłóbka miejskiego (pomoc w zaopatrzeniu w żywność i bieliznę).

Najważniejsze jest jednak to, że mężowi udało się uratować kilku Polaków przed wywózką do Niemiec a nawet przed śmiercią. Do dzisiaj mieszka w Zakopanem pani Bronisława Gąsienica-Ciułacz, która jest tego żywym dowodem.

Również będąc adwokatem w Zielonej Górze podejmował się spraw, w których bronił osób represjonowanych przez ówczesne władze. Stąd decyzja o usunięciu męża z listy adwokatów. Do tej decyzji przyczyniła się także kwestia przynależności politycznej męża, bowiem przez całe życie Marian nie należał do żadnej partii politycznej.

Na początku lat 90. Rada Adwokacka czyniąc mu honory wpisała go ponownie na listę adwokatów. Ale było to już tylko moralne zadośćuczynienie.

• M. T.: Czym zajmował się Pani mąż przez kolejne 20 lat?

• A. Ł.: Aż do emerytury w 1974 r. mąż był radcą prawnym w różnych zakładach pracy. Najdłużej pracował w Zaodrzańskich Zakładach Przemysłu Metalowego – Zastal; po drodze były jeszcze: Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Skupu Surowców Włókienniczych i Skórzanych, Fabryka Zgrzeblarek Bawełnianych – Falubaz, Centrala Rybna (wówczas mieszcząca się przy al. Niepodległości 2), ZGKEiM (wówczas Miejski Zarząd Budynków Mieszkalnych). Był także członkiem komisji odszkodowawczej. Jednak najciekawszym okresem w jego życiu zawodowym był czas, kiedy pracował jako adwokat.

• M. T.: Czy w Zielonej Górze pracowała Pani zawodowo?

• A. Ł.: Owszem, po przyjeździe do Zielonej Góry dostałam pracę jako wykładowca w Zawodowej Szkole Krawieckiej. Następnie byłam zatrudniona w charakterze kontraktowego nauczyciela w Państwowym Liceum Przemysłu Kontraktowego I-go stopnia w Zielonej Górze przy ul. Daszyńskiego 13. Oprócz tego pracowałam w Związkach Zawodowych jako kierownik Kursu Kroju i Szycia, a w Towarzystwie Krzewienia Wiedzy Praktycznej na kursie przysposobienia zawodowego. Szkoliłam się także w 1950 r. w Państwowym Liceum Przemysłu Odzieżowego w Zielonej Górze.

• M. T.: Jak potoczyło się życie dwóch państwa córek: Ewy i Doroty?

• A. Ł.: Starsza córka Ewa skończyła studia stomatologiczne w Poznaniu; obecnie mieszka w Szczecinie i tam prowadzi prywatny gabinet. Doczekaliśmy się z mężem dwojga wnucząt: Małgosi, która skończyła pomaturalną szkołę fizjoterapii oraz Piotra, który poszedł w ślady dziadka i jest prawnikiem, obecnie zaś pełni funkcję prodziekana Wydziału Zaocznego Prawa na UW; ma dwoje dzieci.

Młodsza córka Dorota pracowała już w kilku zawodach. Po skończonych szkołach (technikum ogrodnicze i

liceum ogólnokształcące) zrobiła jeszcze kilka kursów: dziewiarski, masażu, komputerowy, asystenta menedżerów. Pół roku przebywała w Stanach Zjednoczonych, nie mogąc znaleźć tu pracy; po powrocie zajmowała się organizacją pracy przy sprzedaży piwa na Przystanku Wodstok w Żarach. Pracowała także jako sekretarka, potem rzecznik prasowy w nie istniejącym już browarze „Lubusz”; poza tym w zakładzie ogrodniczym i jako masażystka. Teraz zatrudniona jest jako przedstawiciel handlowy w „Dialogu”.

• M. T.: Chciałabym, żeby opowiedziała Pani naszym Czytelnikom o pewnym wydarzeniu historycznym, w którym Pani uczestniczyła. Otóż w 1991 r. sprowadzono do Warszawy szczątki Józefa Becka – syna. Proszę powiedzieć, w jakiej atmosferze odbył się pogrzeb?

• A. Ł.: Na tę uroczystość pojechałam wraz z córkami i wnuczką Małgosią. Zanim szczątki Becka zostały sprowadzone do Warszawy, jego grób w Bukareszcie odrestaurował syn Józefa Becka z pierwszego małżeństwa – Andrzej Beck, działacz polonijny, obecnie mieszkający na wschodnim wybrzeżu Ameryki.

Pogrzeb Józefa Becka odbył się na cmentarzu na Powązkach. Po tej uroczystości w Ministerstwie Spraw Zagranicznych zorganizowano koktajlowe spotkanie, na którym ostatecznie pożegnano Becka. My także otrzymałyśmy zaproszenie i tam przypadkowo dowiedziałyśmy się, że jesteśmy spokrewnione z rodziną byłego ministra Skubiszewskiego.

• M. T.: Od 1996 r. w państwa życiu następuje ciężki okres – mąż Pani zaczyna poważnie chorować.

• A. Ł.: Tak, od września tego roku mąż choruje na raka. Niecały rok później, bo 23 lipca 1997 r., Marian umarł. Przez cały czas choroby zapisywał w notatniku, jak minął kolejny dzień. W jego zapiskach były wszystkie szczegóły dotyczące choroby: co jadł danego dnia, jakie przyjął leki, jakie miał ciśnienie i ogólne samopoczucie. Nawet jaka tego dnia jest temperatura na dworze. Oprócz tych notatek prowadził jeszcze przed chorobą dziennik, w którym skrupulatnie zapisywał, co robił danego dnia. To było chyba przyzwyczajenie zawodowe, może cecha charakteru – skrupulatność. Od 1976 r. do 1997 r. prowadził także skoroszyt wydatków i przychodów, robiąc bilans na koniec każdego miesiąca. Np. w listopadzie 1979 r. zapisał: dn. 26, pasta do podłogi – 13,50, dezodorant dla Man (czyli Mariana) – 46, deser mleczny „Cella” – 3,10. Oprócz tego miał jeszcze kalendarz, w którym planował na niedaleką przyszłość różnego rodzaju spotkania czy wyjazdy. Wszystko to zachowało się do dzisiaj i leży na pamiątkę. Trzy lata przed śmiercią Mariana sporządziliśmy wspólnie testament. Mąż wyraził w nim wolę kremacji, wyjaśniając, że za mało jest miejsca na świecie, żeby zajmowały je dodatkowo cmentarze. Kilka dni po jego śmierci dokonano więc kremacji w Poznaniu, a 28 lipca w poniedziałek odbył się pogrzeb na zielonogórskim cmentarzu. Obecna była oficjalna delegacja ze Związku Kombatantów; część osób przyjezdnych nie dojechała, gdyż był to akurat czas powodzi w Polsce i wiele dróg było nieprzejezdnych.

• M. T.: Dwa lata później odbyła Pani wraz z młodszą córką podróż sentymentalną w przeszłość.

• A. Ł.: Rzeczywiście. W kwietniu 1999 r. wybrałyśmy się z Dorotą do Łańcuta, po drodze zatrzymałyśmy się w Zakopanem, gdzie byłam pierwszy raz od wyjazdu w 1940 r. Byłyśmy w Witkiewiczówce, w której niewiele się zmieniło od tamtego czasu. Pokazywałam Dorocie okna pokoju, który zamieszkiwałam w dzieciństwie. Byłyśmy także w kościele, gdzie braliśmy z Marianem ślub i pod szpitalem, gdzie urodziłam Ewę. Odwiedziłyśmy Broncię Ciułacz w jej góralskiej chacie obtykanej mchem, gdzie nawet buda dla psa jest w stylu góralskim. Na każdym kroku typowe dla tego krajobrazu akcenty: meble, malarstwo na szkle. Odwiedziłyśmy również Penckowy Brzysek – czyli zabytkowy zakopiański cmentarz. Ruszyłyśmy w dalszą drogę do Łańcuta, zahaczając jeszcze o Limanową. Tam ogromne rozczarowanie. Limanowa, która bardzo się rozrosła, ukryła gdzieś między uliczkami naszą Beckówkę. Gdy wreszcie znalazłyśmy ją w samym centrum miasta, zobaczyłam, że cały teren wokół niej został bezdusznie okrojony. Zamiast sadu, rosnących wówczas świerków i róż, zamiast lipowej ławy, same ulice. Poza tym naszą Beckówkę zajmowała wielopokoleniowa rodzina cygańska, a sam dom był mocno zaniedbany, gubiąc wszystko ze swej świetności. To było smutne wspomnienie tej wyprawy. W końcu jednak dotarłyśmy do Łańcuta, gdzie na trzy tygodnie zatrzymałyśmy się u znajomych. Robiłyśmy sobie z Dorotą i znajomymi jednodniowe wypady w Bieszczady, nad Solinę, zwiedziłyśmy pałac w Łańcucie, zamek i park w Krasiczynie, przemyskie uliczki i rzeszowską starówkę. Przejeżdżając przez Hoczew zobaczyłyśmy z drogi prymitywną rzeźbę sakralną – w spróchniałej lipie wypalona Matka Boska. Zrobiła na nas tak duże wrażenie, że musiałyśmy wejść (była ona na prywatnej posesji) i zapytać o autora tego dzieła. Okazał się nim rzeźbiarz z Hoczewa, o którym później przeczytałyśmy artykuł w „Gazecie Lubuskiej”.

• M. T.: Czy teraz, z perspektywy czasu, może Pani powiedzieć, że wasze małżeństwo było szczęśliwe?

• A. Ł.: Tak, było szczęśliwe.

• M. T.: Jaka jest więc recepta na udany związek?

• A. Ł.: Przede wszystkim wzajemne zrozumienie i zaufanie; bardzo łączą natomiast wspólne przeżycia. Oczywiście były między nami delikatne zgrzyty, ale zawsze przecież dwie strony muszą się uzupełniać.

• M. T.: Dziękuję za rozmowę.

Małgorzata Twarowska

Wspomnienia i relacje

Kiedy myślę Ojciec

Obchodzący w 1961 roku swoją XV-tą rocznicę istnienia Szczep Harcerski „Grunwald” nadał tytuł „Honorowego Opiekuna Wieży Głodowej” mojemu Ojcu. Zanim jednak zielonogórscy harcerze za swoją siedzibę obrali Wieżę Głodową, musieli przejść przez trudne początki organizowania się polskiego harcerstwa na tzw. Ziemiach Odzyskanych.

Podczas okupacyjnych lat w Krakowie, moi bracia, wtedy w wieku 10 i 12 lat, pracowali w fabryce zabawek. Wycinali z dykty „laubzegą” różne postacie z bajek – głównie były to Myszki Miki. Kiedy cała rodzina szczęśliwie wróciła po wojnie do Grodziska Wlkp., okazało się, że nie ma tam ani pracy, ani przyjaciół, ani mieszkania dla przedwojennego burmistrza. Po odnalezieniu rozproszonego po urzędach i prywatnych mieszkaniach dobytku, rodzina Mazurkiewiczów wyjechała do Zielonej Góry. Był sierpień 1945 roku.

Mój starszy brat Roman do harcerstwa należał jeszcze przed wojną w Grodzisku. Także tam, przez pierwsze kilka miesięcy 1945 roku i On, i młodszy brat Witold oraz siostra Urszula, należeli do odradzającego się harcerstwa, do II Drużyny Harcerzy im. Stefana Czarnieckiego przy Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego, której historia sięga roku 1927. Właśnie Grodzisk Wlkp. po wojnie był przez pewien okres jednym z najsilniejszych ośrodków harcerstwa w Wielkopolsce.

Kiedy przyjechali do Zielonej Góry mieli więc za sobą pierwsze akcje harcerskie, siostra mundurek ze srebrnymi sznurami, bracia chusty i pasy. Sztandar, jaki przez kilka tygodni złotymi nićmi haftowała i szyła moja mama, był chyba pierwszym symbolem drużyny, którą moi bracia wraz z kolegami tworzyli.

Także w naszym domu z wojskowych niemieckich namiotów „powstały” pierwsze mundurki harcerskie – krótkie spodnie, bluzy, a koszule z siatek moskitierowych namiotów.

W nowym środowisku, w niepewnym jeszcze klimacie, młodzież chętnie i bez uprzedzeń garnęła się do tworzącego pierwsze szeregi harcerstwa. We wspomnieniach mojej siostry pozostały do dzisiaj spotkania sporej grupy młodzieży w naszym domu przy ulicy Sienkiewicza (dziś siedziba Regionalnego Centrum Animacji Kultury). To tam odbywały się potańcówki, konkursy i spotkania, zabawy w parku i wtedy jeszcze pięknym ogrodzie. To dla nich moja Mama piekła stosy pączków z ukrytymi w nich moimi najpiękniejszymi pierścionkami odpustowymi. Nigdy ich zresztą nie odzyskałam.

Młodszy z braci, zapalony fotografik, rejestrował skwapliwie wszystkie akcje drużyny „WATRA”. W Jego albumie odnalazłam zdjęcia Rodziców, kolegów, sympatii i zaraz obok fotografie z różnych harcerskich akcji i wycieczek. Małe, o charakterystycznych na tamte czasy wymiarach 4x5 cm, fotki rozszyfrowuję oglądając je przez lupę. Wszystkie są jednak szczegółowo opisane:

„... Święto lasu, maj 1947”, czy „...»Watra« spełnia swój dobry uczynek, czerwiec 1948”, czyli akcja Żniwna, albo „...Poświęcenie proporca, maj 1948”, „Pilichowice, w drodze na zaporę, czerwiec 1948”, „Orkiestra »Zgoda« czerwiec 1949” i wiele jeszcze innych.

Ze zdjęć widać też, że bracia przyjaźnili się szczególnie z Olkiem Filipowskim, Jankiem Malarczykiem, Lidkiem Bordo czy Heńkiem Zborowskim. Były i dziewczyny – Krysia Grzybowska, Irka Skrobańska, siostry Słomczykowskie. Ta zgrana drużyna harcerzy, pociągami, pieszo i na rowerach przemierzyła całą niemal Polskę, brała udział w letnich akcjach żniwnych, zlotach, biwakach, obozach i zawodach sportowych.

Szkoda, że nie pamiętam przebiegu zbiórek, na które niejednokrotnie jako maskotka i przyzwoitka byłam zabierana przez Romka jeszcze w wózku. Tak sądzę dzisiaj, lecz jestem pewna, że w tamtym czasie, wynikająca z pewnych domowych

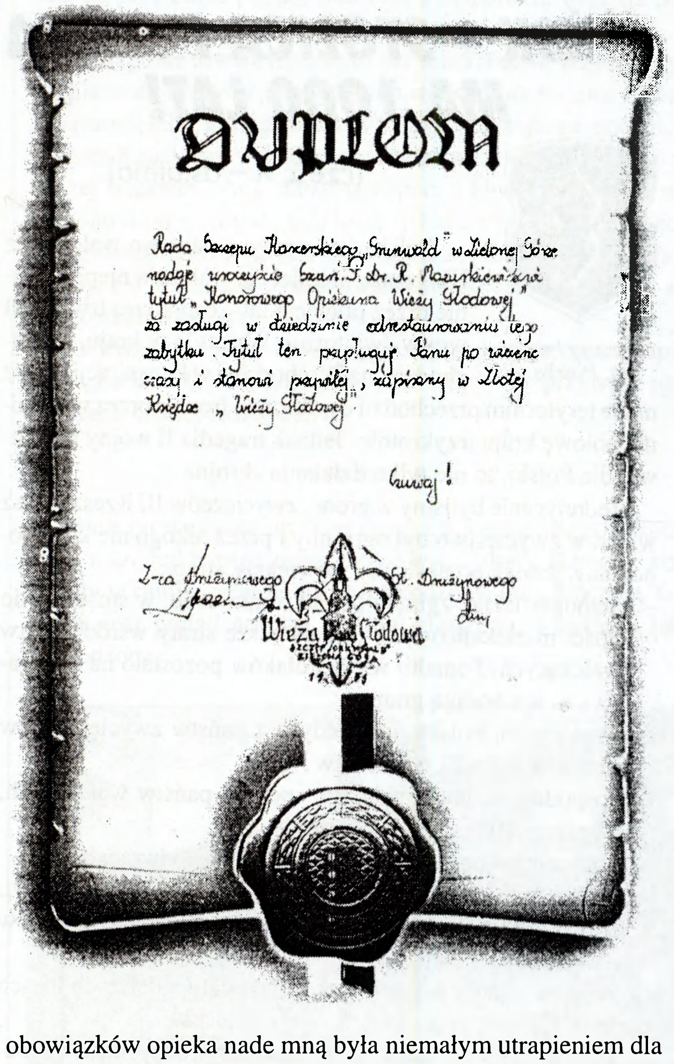

obowiązków opieka nade mną była niemałym utrapieniem dla mojego starszego, dorastającego rodzeństwa.

Wydarzeniem o charakterze politycznym była decyzja, podjęta poza harcerskimi szeregami, o zmianie koloru chust noszonych przez harcerzy. Dotychczasowe czarne i czarno-zielone nakazano zmienić na kolor radosnego socjalizmu – czerwone. Wiele osób, między innymi i mój brat, zrezygnowało wtedy z tej przynależności. W rezultacie zmieniono chusty na kolor czerwono-niebieski, co należało odczytywać socjalizm – pokój.

Jedną z pierwszych siedzib harcerskich drużyn był budynek obok dawnych Zakładów Drzewnych, obecnie Fabryki

Mebli przy Sienkiewicza. Potem harcówkami były kolejno, stojące do dzisiaj domy przy ulicy Kraszewskiego, postoju taksówek na Placu Wielkopolskim i Wieża Głodowa.

W końcu lat pięćdziesiątych właśnie w Wieży harcerze zorganizowali wystawę broni, oręża i pamiątek historycznych zebranych przez drużyny. Część eksponatów należała do mojego Ojca. Została przekazana najpierw Szczepowi Harcerskiemu „Grunwald", aby ostatecznie trafić do zielonogórskiego muzeum.

Moich najbliższych już nie ma. Spoczywają obok siebie we wspólnej mogile na zielonogórskim cmentarzu. Nie ma też wielu zdjęć w albumie. Ale żyje ciągle harcerstwo, które oby nie zapomniało, ile zawdzięcza historii i tym, którzy je organizowali.

Zdzisława Kraśko

Zielona Góra, 1 maj, 1948 r.

PIŃSK – STOLICA POLESIA MA 1000 LAT!

(część X – ostatnia)

Obecny herb m. Pińska

Polska, jako jedyne państwo walczące z III Rzeszą niemiecką, walczyła nieprzerwanie przez prawie 6 lat – cały okres trwania II wojny światowej. Walczyła w kraju, na Zachodzie, na Wschodzie i w konspiracji. Przez nasze terytorium przechodził dwukrotnie front, a przez wschodnią połowę kraju trzykrotnie. Jednak tragedia II wojny światowej dla Polski, to nie tylko działania zbrojne.

Teoretycznie byliśmy w gronie zwycięzców III Rzeszy, nasz wkład w zwycięstwo był ogromny i przez nikogo nie kwestionowany, jednak ponieśliśmy największe straty:

- demograficzne, zginęło ponad 6 mln osób, w stosunku do ilości mieszkańców, są to najwyższe straty wśród państw walczących. Ponadto wielu Polaków pozostało na emigracji i za wschodnią granicą;
- terytorialne, Polska, jako jedyne z państw zwycięskich, w sumie utraciła 77 tys. km kw.;
- gospodarcze, też największe spośród państw walczących, sięgające 40% stanu z 1938 r.;
- kulturalne – ogromne, niewymierne i nieodwracalne;
- polityczne – najcięższe, gdyż utraciliśmy niezależny byt. Układy jałtańskie „umieściły" Polskę w strefie wpływów sowieckich.

Właśnie układy jałtańskie zadecydowały o dalszych losach naszych Kresów Wschodnich, w tym Pińska.

1943 r. – 28.11.-1.12. w Teheranie przywódcy Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego wstępnie dokonali przyszłego podziału świata i przyszłych granic Polski z przesiedleniem ludności.

1944 r. – we wrześniu PKWN podpisał z ZSRR porozumienie o wyjazdach do Polski.

7.10. – powstał Państwowy Urząd Repatriacyjny. Do końca 1944 r. do Polski przybyło z ZSRR ponad 300 tys. osób, w tym żołnierze LWP.

1945 r. – 4-11.02. w Jałcie, spotkali się Roosvelt, Churchill i Stalin, którzy zadecydowali o przyszłym kształcie terytorialnym i ustrojowym Polski – zgodnie z sugestiami Stalina.

17.07.-2.08. w Poczdamie, na konferencji pokojowej zapadły szczegółowe decyzje co do granic Polski, która utraciła Kresy Wschodnie za Bugiem i Sanem, a w zamian powróciła nad Bałtyk, Odrę i Nysę, na dawne ziemie piastowskie.

6.07. – TRJN (uznany przez aliantów) zawarł z ZSRR umowę, że wracać do Polski mogą tylko Polacy i Żydzi, którzy udowodnią swoje obywatelstwo w II Rzeczpospolitej.

16.08. – TRJN umową z ZSRR zatwierdził granicę polsko-sowiecką na Bugu i Sanie. Do końca 1947 r. do Polski z ZSRR przesiedliło się ponad 1,5 mln osób.

1957 r. – 25.03. **PRL** podpisało z ZSRR umowę repatriacyjną, na mocy której w latach 1957-1959 przybyło z ZSRR do Polski jeszcze przeszło 250 tys. osób, w tym wielu AK-owców, wywiezionych do ZSRR w latach 1944-1945 oraz rodzin deportowanych po 1944 r.

W latach II wojny światowej i po wojnie po Polsce przemieszczały się ogromne ilości wojsk i ludności cywilnej w ramach działań wojennych, przemieszczanych pod przymusem lub na własną rękę, szukających miejsca, gdzie mogliby żyć w spokoju.

Gdy 6 lipca 1944 r. nasze trzy spokrewnione rodziny z Pińska wysiadły na dworcu Wschodnim w Warszawie, też zastanawialiśmy się, gdzie się udać. Kuzyn Jerzy Gruszewski z rodziną pojechał ze współpracownikami do Tomaszowa Mazowieckiego, gdzie firma o nich już nie dbała, kierując do zbiorczych baraków, pełnych Ukraińców, więc wynajęli lokum na własną rękę.

My z rodziną kuzynki Heleny Gruszewskiej zatrzymałyśmy się na Pradze. Mąż Heleny, Adam (kuzyn Jerzego po ojcu) dogadał się z kolejarzem, który wynajął mu pokój i pomógł załatwić pracę na kolei w Radziłłowie pod Skierniewicami. Wtedy mama przypomniała sobie o koledze ojca z wojny 1920 r., ze Skierniewic. Pan Rutkowski, który pracował w majątku doświadczalnym SGGW w Skierniewicach, pomógł nam. Mamę i mnie zatrudniono w stołówce majątku, a brata w sadzie. W budynku stołówki otrzymaliśmy lokum – 25 m² (kuchnia i korytarzyk z WC, z osobnym wejściem od strony parku). Dostaliśmy stół, taborety i dwie prycze z siennikami. Byliśmy szczęśliwi, mieliśmy gdzie mieszkać i co jeść.

Majątkiem doświadczalnym kierował znany po wojnie prof. Emil Chroboczek, który był nadzorowany przez dwóch Niemców (dr Platte). Mieszkali oni na piętrze głównego budynku i mieli swoją gosposię. Naukowcy i pracownicy (wielu przyjechało z podobnego majątku z Puław) stołowali się u nas. Początkowo było to 50-70 osób, ale po powstaniu warszawskim 300 osób, również rektor SGGW prof. Marian Górski z rodziną. Produkty żywnościowe otrzymywaliśmy z majątku, mięso z chłodni od inż. Karwowskiej, owoce z sadu od inż. Rejmana, po mleko chodziłam do obory. Naturalnie podstawowe produkty były ściśle wyliczane, a mięso to była nieraz konina, jednak obiady składały się codziennie z dwóch dań. Pracownicy majątku mieli obowiązek pomagać przy nasileniu prac polowych, jak żniwa czy wykopki. Były to zbiorowe wyjazdy platformami konnymi.

Do Skierniewic przeniósł się też kuzyn Jurek Gruszewski z rodziną, wynajęli lokum za torami, Jurek pracował w firmie przewozowej jako woźnica konnej platformy. Teść Jurka przychodził z konewką po zupę, tak jak inne rodziny z sąsiedztwa, rozdawaliśmy to, co zostało po stołownikach. W Skierniewicach po powstaniu było dużo warszawiaków, było też kilkanaście rodzin z Pińska i Stolina.

W listopadzie 1944 r. w Skierniewicach na murach pojawiły się nekrologi Marii Rodziewiczówny, która po powstaniu znalazła się w Żelaznej pod Skierniewicami. Bardzo chciałam się udać na pogrzeb pisarki – Poleszuczki z Hruszowej koło Kobrynia, ale nie udało się. W 1948 r. jej szczątki przeniesiono do Alei Zasłużonych na cmentarz na Powązkach w Warszawie.

Późną jesienią 1944 r. Skierniewicami wstrząsnęła szeptana wiadomość, że Niemcy za miastem, na wschodniej bocznicy, spalili wagon z żywymi więźniami. W lutym 1945 r. przeprowadzono ekshumację ze wspólnego dołu śmierci, było to przeżycie wstrząsające dla przybyłych mieszkańców.

Na przełomie 1944/1945 r., na żądanie Niemców pracownicy majątku jeździli samochodami ciężarowymi nad rzekę Rawkę, gdzie sypaliśmy okopy. Na nic to się nie zdało. 12 stycznia 1945 r. ruszyła znad Wisły wielka ofensywa, i już 17 stycznia w Skierniewicach były wojska sowieckie. Ulicą szły czołgi, a podwórko zapełniło się furmankami i żołnierzami, którzy w kotle stołówki gotowali grochówkę z amerykańskich puszek.

Po paru dniach przez Skierniewice szły czołgi I Armii WP witane przez ludność. Na jednym z czołgów rozpoznałam chłopaka z Pińska, na moje „Mundek!" machał mi radośnie.

Ze Skierniewic warszawiacy, puławianie i inni wracali do swych miast. Poleszucy też szukali swego miejsca na ziemi, niektórzy samotni wracali do rodzin za Bug, my czekaliśmy na ojca w Skierniewicach.

Stołówkę zamknięto, mama zajęła się handlem. Przez Skierniewice, ważny węzeł kolejowy, szły często pociągi, handlowano z koszyków przy pociągach. Gdy ktoś jechał za Bug, mama dawała przygotowany list do Ojca. My z bratem poszliśmy do szkoły, on do podstawówki, ja do III klasy gimnazjum. Szło mi ciężko, miałam braki, do tego, co noc wstawałam o 3-4 godzinie i szłam z mamą w kolejkę po chleby, aby mama miała czym handlować.

W kwietniu na parę dni zatrzymali się u nas pińszczanie, Witek Możejko z matką, bratem i kolegą. Wracali z robót w Niemczech i zastanawiali się co dalej. Propagowano już wyjazdy na tzw. Ziemie Odzyskane, Witek z rodziną pojechali do Elbląga, a kolega do Pińska.

W kwietniu pochowaliśmy teściową Jurka, nie miała jeszcze 50 lat, wkrótce zachorowała ciężko moja 46-letnia mama – zapalenie płuc, a nie było jeszcze antybiotyków. Był to najcięższy dla nas okres, rzuciłam szkołę, opiekowałam się mamą i bratem, musieliśmy korzystać z kuchni RGO na dworcu.

Gdy mama nieco wydobrzała, chciałam i ja zahandlować (w tym czasie wiele osób to robiło). Z 19-letnią Romką z Pińska pojechałyśmy po tytoń w liściach do Krakowa. Przesiadałyśmy się w Koluszkach i Częstochowie do zatłoczonych pociągów, spałyśmy na posadzce dworca z tłumem ludzi. Wracałyśmy przez Kielce, nad tunelem szłyśmy pieszo, był zasypany, z Kielc do Skarżyska-Kamiennej jechałyśmy na lokomotywie, trzymając się za ręce, aby nie spaść, do tego przez uszkodzony most, że tylko wodę było widać, horror! Miałyśmy dość handlu na zawsze i poszłyśmy z Romką na kurs przedszkolanek. Wyjątkowo (17 lat kończyłam w sierpniu) pozwolono mi prowadzić letni wiejski dzieciniec w oddalonej o 7 km wsi Kamion.

W czerwcu rodziny Jurka i Adasia Gruszewskich wyruszyły na Ziemie Odzyskane, początkowo do Wschowy, a w lipcu 1945 r. zamieszkali przy ul. Pułaskiego w Zielonej Górze i pisali, żeby przyjeżdżać. Mieliśmy już wiadomość od ojca z Pińska, że przyjedzie późno, ostatnim transportem, więc na początku września opuściliśmy Skierniewice.

W wagonie towarowym było nas kilka rodzin, wagon przyczepiano do różnych pociągów lub staliśmy na bocznicy. Brat się przeziębił i gorączkował. W czasie postoju na bocznicy dworca Kaliskiego w Łodzi sprowadziłam do wagonu lekarza. Na tej bocznicy obok stanął transport z Pińska, biegałam od wagonu do wagonu, ale byli to obcy ludzie, przeważnie z okolic Pińska. Udało mi się jednak dostać adres Reni Bogatko, która już była w Tomaszowie Mazowieckim, potem okazało się, że był to szczęśliwy traf.

15 września 1945 r. nasz wagon stanął przy dworcu z napisem „Zielona Góra", naprzeciw skweru, który przywitał nas kolorami ciepłej złotej jesieni.

* * *

Pińsk po wyzwoleniu spod okupacji niemieckiej, 14 lipca 1944 roku, był bardzo zniszczony i wyludniony. Dworzec kolejowy w ruinie, most na Pinie uszkodzony, port, stocznia, fabryki oraz ponad połowa domów zburzona, wypalona lub uszkodzona.

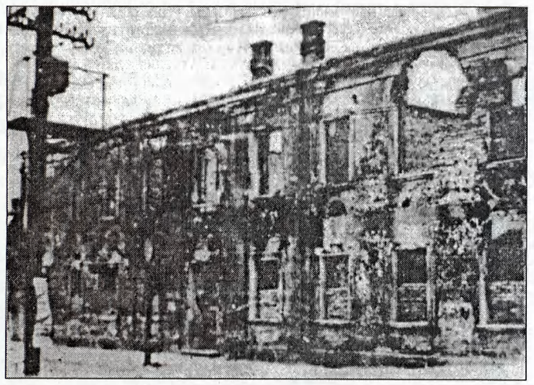

Pińsk, 1944 r., ruiny przedwojennego gimnazjum żeńskiego, gdzie jeszcze jesienią 1943 r. uczyliśmy się w handlówce.

Władzę w mieście objęła Wojskowa Komendantura, ale w ślad za wojskiem przybyły cywilne władze sowieckie z rodzinami, wprowadzając ponownie administrację BSRR. Dokonywano poboru do Armii Czerwonej od 18 do 50 roku życia.

Polacy korzystali z możliwości i wstępowali do I Armii Wojska Polskiego.

Mój ojciec nadal mieszkał na ul. Brzeskiej w małym pokoju, duży zajęła przyjezdna rodzina Rosjan. Od 1.09.1944 r. ojciec rozpoczął pracę w Pińsku jako nauczyciel, ale już w grudniu 1944 r. pracował w Polskim Okręgowym Komitecie ds. Repatriacji (pracowali tam Polacy i Rosjanie).

Pińsk 1945 r., pracownicy Komitetu ds. Repatriacji. Stoją: drugi z lewej – Bronisław Wolski, mój ojciec; czwarta z lewej – Albina Gorochówna, moja szkolna koleżanka; trzeci z prawej – Roman Rabcewicz, były pracownik Flotylli Pińskiej, brat Ignacego, profesora łaciny z gimnazjum pińskiego. Pozostałe osoby nieznane, w Komitecie pracował też p. Horehlad.

Pierwszy transport Polaków z Pińska i okolic wyjechał do Polski na początku stycznia 1945 r., a drugi już 15 stycznia. Jednak następni ociągali się z wyjazdem, bali się nieznanego, żal im było stron rodzinnych i dorobku całego życia. Niektórych dopingowały władze oraz przesłuchania, aresztowania i wywózki, ale już nie na masową skalę jak w latach 1940-1941.

Z Czech przez Lwów, z powrotem do Pińska, władze sowieckie odesłały 7-osobową rodzinę mojej cioci Antoniny Gruszewskiej. Nie mogli zamieszkać w swojej kamienicy przy moście ani w chutorze Czwilcze – były już upaństwowione i zajęte. Zamieszkali na ul. Poleskiej u kuzynów Bogatków, których rodzice z Renią transportem w czerwcu 1945 r. wyjechali do Polski do Tomaszowa Mazowieckiego. Bazy był w I Armii WP (po wojnie pracował w WAT i MON, jako pułkownik-emeryt mieszka w Warszawie), Michał z robót w Westfalii wrócił do Polski (jako inżynier elektryfikował śląską kolej, mieszka w Katowicach), Renia, socjolog na emeryturze, pracuje społecznie w fundacji „Polonus", mieszka w Łodzi.

W 1945 r. aresztowano w Pińsku wujka Aleksandra Gruszewskiego i jego starszego syna Janka. Mikołaja wzywano na przesłuchania, krzyczano, dlaczego nie jedzie z matką i siostrą do Polski. Odpowiadał niezmiennie „wypuśćcie mego ojca i brata, a natychmiast wyjedziemy". Janek zmarł w 1947 r. w Workucie, a wujka wypuszczono w 1956 r. Stary, chory, zmarł po pół roku w Pińsku. Mikołaj, absolwent gimnazjum pińskiego, żołnierz września 1939 r. pracował jako księgowy, aby uniknąć aresztowania, często nie nocował w domu. Pozostał w Pińsku, pochował kolejno członków swojej rodziny i sam zmarł w 1986 r. Przyjmował nas w Pińsku, trzy razy odwiedził nas w Zielonej Górze. Był wspaniałym człowiekiem o duszy Poleszuka rozmiłowanego w Polesiu.

Mój ojciec przyjechał do Zielonej Góry niespodziewanie 6.12.1945 r. W dniu św. Mikołaja, wczesnym rankiem zapukał do naszych drzwi. Pracował krótko w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym, a potem jako nauczyciel w szkole zawodowej przy ul. Botanicznej. Zmarł w 1958 r. Dopiero w 1991 r. przypadkowo dowiedziałam się, że ojciec wyjechał z Pińska nagle, gdyż ktoś rozpytywał o niego w Komitecie ds. Repatriacji, a kolega go ostrzegł. Stał transport do Polski, więc ojciec się zabrał. Tym dziewiątym transportem w listopadzie 1945 r. wyjechali do Polski (przymuszeni przez władze, katedra była zapieczętowana), siostry zakonne i długoletni zakrystian katedry Adam Bułczyński z rodziną. Transport skierowano do Drawska Pomorskiego, ale ojciec jechał do Skierniewic. Gdy przejeżdżali przez Tomaszów Mazowiecki, w drzwiach wagonu towarowego, ojca przypadkowo zobaczyła Renia Bogatko i podała nasz adres w Zielonej Górze. Również niedawno dowiedziałam się od Irki Krajewskiej, której ojciec naprawiał partyzantom radiostację, że nasi ojcowie znali się nie tylko w Zielonej Górze, ale spotykali się u nich w domu w Pińsku.

Mój ojciec – rocznik 1901 – był spokojnym, skromnym człowiekiem, wiedziałam, że był patriotą, nawet imię swe zawdzięczam córce „Dziadka", ale nic mi nie mówił, najpierw byłam za mała, a potem nie te czasy. Po latach od mamy dowiedziałam się, że ojciec jako gimnazjalista w 1918 r. bronił Lwowa, a potem jako ochotnik walczył w 1920 r. Jako kierownik wiejskiej szkoły prowadził organizację Strzelca i tylko dzięki przeniesieniu w 1936 r. w Białostockie, zatarliśmy ślady i uniknęliśmy Sybiru w 1940 r. Teraz rozumiem, dlaczego ojciec korzystną pracę przy soleniu skór, pomimo sprzeciwu mamy, wiosną 1944 r. zamienił na pracę szatniarza w byłym hotelu Europejskim, gdzie mieszkali niemieccy oficerowie. Pamiętam słowa ojca: „ja tam muszę iść, bo znam język niemiecki". Myślę, że to też było powodem, że pozostał w Pińsku, wysyłając nas w lipcu 1944 r. za Bug. Sądzę, że w Pińsku było wielu takich patriotów, którzy uważali, że należy po prostu spełnić swój obywatelski obowiązek.

Z Zachodniej Białorusi wyjechało do Polski ponad 280 tys. osób. Ostatni transport z Pińska wyjechał pod koniec sierpnia 1947 r. i Polski Okręgowy Komitet ds. Repatriacji został rozwiązany.

W czasie drugiego przesiedlania w latach 1957-1959 przyjechało jeszcze wiele pińskich rodzin, m.in. Gorochowie, rodzina Józefa Kuny oraz nasi krewni – Turczyńscy i Protasowiccy, którzy skierowali się do Zielonej Góry.

Polacy wyjeżdżali z Pińska stopniowo, po namyśle, pomimo że tam im utrudniano życie, również religijne.

W 1944 r. w Pińsku było tylko trzech kapłanów katolickich. Diecezja Pińska faktycznie nie istniała, byli tylko wikariusze generalni w Polsce w Bielsku Podlaskim, a potem w Drohiczynie nad Bugiem oraz kolejni księża w Pińsku. Początkowo był to ks. prałat Henryk Humnicki, a po jego wyjeździe z ks. Łomackim 15.01.1945 r. do Polski, wikariuszem generalnym był ks. kanonik Jan Wasilewski.

W czasie wojny proboszcz katedry, były rektor Seminarium Duchownego, autor książki „W szponach Antychrysta", który był przeciwny wyjazdom do Polski, jak długo w Pińsku są katolicy. Był często wieczorami wzywany do NKWD, ale postanowienia nie zmienił. W sierpniu 1945 r. ks. kanonik Jan Wasilewski został aresztowany, osądzony i wywieziony na Sybir, gdzie w 1948 r. zmarł w wieku 53 lat. Jego prochy ostatnio sprowadzono do katedry w Drohiczynie nad Bugiem.

W kaplicy na cmentarzu odprawiał msze św. ks. Stanisław Ryżko z Horodyszcza, potem przeniósł się do Pińska i odprawiał msze św. w kościele św. Karola Boromeusza. Katedra od aresztowania proboszcza w sierpniu 1945 r. była przez władze zamknięta i zapieczętowana.

Staraniem Komitetu Kościelnego w osobach: Józefa Kuny, Zofii Kałłaur, Józefa Mielocha, Zygmunta Gorocha i organisty Terleckiego po ośmiu miesiącach oddano klucze przewodniczącemu – Józefowi Kunie i ks. Stanisław Ryżko mógł odprawiać msze św. w katedrze. Na kościół nałożono znaczne podatki, ale wierni dzielili się ostatnimi rublami, aby tylko utrzymać katedrę, bo wszędzie kościoły zamieniano na kluby lub magazyny.

28.04.1949 r. został aresztowany jedyny ksiądz w Pińsku i okolicy – ks. Stanisław Ryżko, którego zasądzono na 25 lat łagru. W czasie sądzenia zapytano, czy jest za władzą sowiecką, czy przeciw, odpowiedział zgodnie z sumieniem „przeciw". Po siedmiu latach katorgi wrócił do Pińska w 1956 r. Pochodził z Mazowsza, ale nie wrócił do Polski, uważał, że „trzeba zostać". Był przez 28 ciężkich lat proboszczem w Łahiszynie, gdzie zmarł i gdzie go pochowano w 1984 r.

Przez 5 lat w Pińsku nie było księdza, Komitet Kościelny z siostrami zakonnymi dbał o katedrę, by władze jej nie odebrały. W lipcu 1954 r. w czasie modlitw zjawił się w katedrze zaniedbany więzień gułagu i zapytał o księdza. Gdy odpowiedziano, że w Pińsku od 5 lat nie ma księdza, powiedział – „Ja jestem księdzem wyświęconym w tej katedrze 8.04.1939 r., nazywam się Kazimierz Świątek". Znajomością liturgii przekonał, że mówi prawdę, pozostał w Pińsku poświęcając się trudnej pracy. Katedra po wielu latach odzyskała swoje piękno, a od 1975 r. pozostaje pod ochroną jako zabytek. W 1988 r. na przyjazd Prymasa Polski kardynała Józefa Glempa, po raz pierwszy po przeszło 40 latach, odezwały się dzwony zabytkowej katedralnej dzwonnicy.

W 1991 r. Ojciec Święty Jan Paweł II stworzył normalną administrację kościelną na Białorusi, reaktywował Diecezję Pińską, a jej ordynariuszem został konsekrowany na biskupa 21.05.1991 r. ks. prałat Kazimierz Świątek. Jego seminaryjny kolega z Pińska, bp Władysław Jędruszuk (1918-1994) został ordynariuszem Diecezji Drohiczyńskiej, którą erygowano 5.06.1991 r. z części byłej Diecezji Pińskiej, pozostającej w granicach Polski.

Obecnie ks. Kazimierz Świątek jest od 13.04.1991 r. pierwszym arcybiskupem i od 26.11.1994 r. pierwszym kardynałem Białorusi, a katedra w Pińsku jest już Bazyliką. Bp pomocniczym jest Kazimierz Wielikosielec, a proboszczami katedry księża orioniści. W latach 1991-1994 ks. dziekan Tadeusz Szeszko, który reaktywował moją dawną parafię w Osowie oraz parafię w Janowie Poleskim, miejsca męczeńskiej śmierci św. Andrzeja Boboli. Obecnie proboszczem jest ks. dziekan Stanisław Pawlina, który reaktywuje parafię w Stolinie, remontuje ponownie katedrę i odzyskane od milicji i wojska budynki dawnego Wyższego Seminarium Duchownego.

Obecnie w Pińsku jest znacznie więcej prawosławnych niż katolików. Działa Pińsko-Łuniniecka Prawosławna Diecezja. Wybudowano nową piękną cerkiew, działa nieprzerwanie cerkiew Warwaryńska. Natomiast odbudowa przedwojennego soboru nie ma szczęścia. Gdy w 1949 r. przystąpiono do odbudowy, zawaliły się nowo odtworzone wieże, więc sobór przerobiono na kino-teatr „Drużba". Obecnie ponownie kino przebudowano na cerkiew, stawiając jakieś wieże po bokach, a płaski

Sobór prawosławny przed 1939 r.

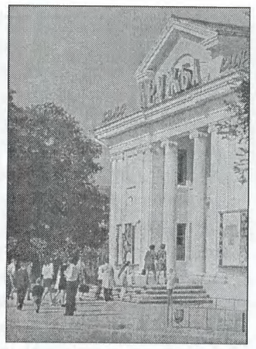

Kino „Drużba" z budynku soboru.

Pińsk 1995 r., przebudowa kina „Drużba" na sobór prawosławny.

sufit (pozostawiony po kinie) nie nadaje pomieszczeniu klimatu świątyni.

Nas, byłych pińszczan, napawa smutkiem obecna zabudowa centrum miasta, dawnego pl. 3 Maja – obecnie pl. Lenina i jego okolic – mostu. Przepiękny barokowy kościół św. Stanisława, uszkodzony 21.09.1939 r. nie został odbudowany, wielkim nakładem sił i środków w 1953 r. zrównano go z ziemią. Pozbawione kościoła 300-letnie budynki Kolegium Jezuickiego, obecnie Muzeum Polesia, stoją jak sieroty, do tego z dru-

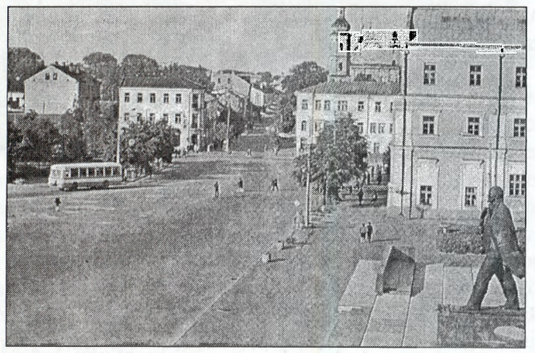

Na wprost – ul. Lenina, dawniej ul. T. Kościuszki.

giej strony pozbawiono je pięknego mostu, pozostawiając ścięte potężne, betonowe podpory. Wybudowano obok potężny, brzydki most, a że przeszkadzały domy, to je zburzono, również 40-letnią, solidną kamienicę wujostwa Gruszewskich.

Potężny pomnik wodza rewolucji od 1970 r. czuwa nad pustym placem po kościele.

Obecny Pińsk to już inne miasto zarówno pod względem mieszkańców, jak i zabudowy. Z 35 tys. osób w 1939 r. jest w 2001 r. 135 tys. osób, w tym większość to przyjezdni Rosjanie i Białorusini. Znaczną liczbę stanowią byli mieszkańcy okolicznych wiosek, którzy aby uniknąć kołchozu, przenieśli się do Pińska, często rozbierając swoje drewniane domy i stawiając je ponownie w Pińsku, niektóre z tych domów stoją do dziś. Jednak dzieci i wnuki tych wiejskich przesiedleńców mieszkają dziś w blokach i wieżowcach z łazienkami i ciepłą wodą, wybudowanych w stylu socrealizmu, całymi osiedlami na zachodnich i północnych krańcach miasta, które już wchłonęło takie wsie jak Koźlakowicze, Krajnowicze, czy na wschodzie Wyszewicze.

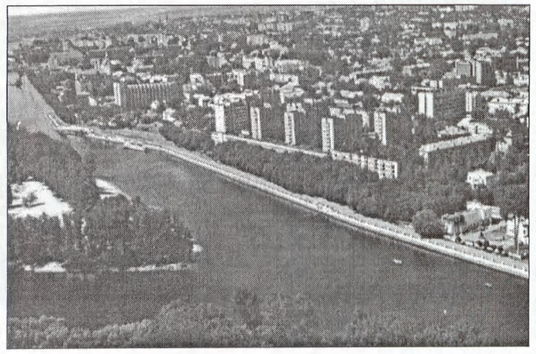

Pińsk z lotu ptaka, 1997 r., u dołu odnoga Prypeci – Strumień, wpada do Piny.

Pińsk 1997 r., róg ul. Brzeskiej i ul. Gorkiego, dawnej Dominikańskiej.

Powstały nowe fabryki, budynki użyteczności publicznej, stadiony i skwery. Pińsk to współczesne białoruskie miasto z wszystkimi tego skutkami. Już tylko nieliczne zakątki i budowle przypominają nasz ukochany Pińsk.

Szczególne uznanie i nasze wsparcie należy się mieszkającym nadal w Pińsku Polakom, których według spisu z 1989 r. było 4 tys. osób. Obecna liczba osób jest zapewne inna, ale pamiętajmy o nich.

Na zakończenie serdecznie dziękuję za przysłane mi materiały, sympatyczne listy i telefony, za duchowe wsparcie, wyrozumiałość dla amatorki i zachętę do dalszego pisania.

Dziękuję moim koleżankom i kolegom, paniom i panom, których poznałam w czasie pisania oraz których nie miałam przyjemności poznać osobiście, ale połączyła nas listownie wspólna pasja – miłość do miasta naszego dzieciństwa i wczesnej młodości – Pińska.

Wam wszystkim w podzięce dedykuję pięć zwrotek wiersza gen. bryg., dr nauk med. Mariana Eliasa, który swą nostalgię za Pińskiem wyraził w długim wierszu pt. „Polesia wspomnień czar".

Kraino droga, Polesie cudne
W dniach letnich żar
Zimą zaś zaspy, dzwonki saneczek
Po prostu czar!
Nad nami wieże cud. Kolegiaty
Katedry głos
Pod nami Pina zielonowoda
A nad nią most.
Wyspa, kasztany, port, marynarze
Krzyk głuszca w kniei
Myśmy tam byli, żyli, kochali
Szczęśliwi, hej!
A może wcale nie było Pińska,
Był tylko czar?
Który urokiem zamącał serca
Rozniecał żar.

Nie to nieprawda!
To nie ten czas.
My istniejemy i Pińsk jest żywy
On mieszka w nas!

Jadwiga Kolibabka
z domu Wolska

Bibliografia:
1. Wydawnictwa Koła Krajoznawczego Uczniów Gimnazjum Państwowego im. Marszałka J. Piłsudskiego w Pińsku.
2. Roman Aftanazy, *Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczpospolitej*, część I.
3. Mieczysław Filipowicz, *Ludzie, stocznie i okręty.*
4. Józef Mieczysław Dyskant, *Flotylla Rzeczna Marynarki Wojennej 1919-1939.*
5. Fanny Sołomian-Łoc, *Getto i gwiazdy.*
6. Ks. Stanisław Ryżko, *Trzeba zostać.*
7. Wiaczesław Makawczuk, *Putiwoditiel po Stolice Polesia.*

Polska prasa towarzyszyła pierwszym osadnikom na Ziemi Lubuskiej już od pierwszych lat po wojnie. Nie było to łatwe, gdyż zniszczenia wojenne były tutaj olbrzymie. Żeby ją stworzyć, trzeba było odbudować drukarnie (w większości akcydensowe), wyposażyć w niezbędny sprzęt, zdobyć potrzebny papier, zorganizować podstawową sieć kolportażu, a przede wszystkim pozyskać dziennikarzy zdolnych do uprawiania tego zawodu. Tego wszystkiego brakowało. Nie było też na tej ziemi tradycji polskiej prasy. Pisma Związku Polaków w Niemczech wprawdzie docierały tu przed wojną do wsi zamieszkałych przez ludność rodzimą, nie były tu jednak nigdy wydawane. Nie było więc na miejscu zawodowych dziennikarzy, najbliższe zaś środowisko poznańskie, wykruszone i rozproszone w czasie wojny, cały swój wysiłek poświęcało odbudowie prasy polskiej w Poznaniu. Gwoli prawdy należy jednak stwierdzić, że środowisko to już wkrótce udzieliło Ziemi Lubuskiej dużej pomocy w tworzeniu lokalnej prasy a i potem obejmowało ten obszar dziennikarskim zainteresowaniem, „odkrywając" go ponownie dla Polski.

Znajdujące się w 1945 r. na Ziemi Lubuskiej drukarnie były, jak już wspomniano, w większości zdewastowane i, ze względu na brak fachowców i sprzętu, niezdolne do podjęcia natychmiastowej działalności. Z wydobytych z gruzów spalonych drukarń w Gorzowie, Kostrzynie i Witnicy urządzeń skompletowano jednak park maszynowy i 26 kwietnia 1945 r. uruchomiono drukarnię akcydensową w Gorzowie. Jej kierownikiem został młody zecer z Wągrowca, Edward Kilanowski. W tej drukarni wyszła 28 kwietnia 1945 r. spod prasy pierwsza odezwa do ludności polskiej, napisana w języku polskim, tutaj też po raz pierwszy po wojnie ujrzały światło dzienne polskie gazety: „Ziemia Gorzowska" i „Ziemia Lubuska".

Pierwszy numer tygodnika „Ziemia Gorzowska" ukazał się w Gorzowie 6 lipca 1945 r. Na wstępie redakcja stwierdzała, że pragnie: „dać możność zapoznania się ze wszystkimi przejawami życia społecznego, gospodarczego i kulturalnego jak i towarzyskiego Gorzowa i okolicy, przystępując do wydawania tygodnika na razie informacyjno-społecznego". W tym czterostronicowym numerze na czołówce pierwszej kolumny podano skład Rządu Jedności Narodowej, pisano o stosunkach między wojskiem i społeczeństwem oraz o przyjaźni polsko-radzieckiej. Na stronie drugiej znalazły się informacje ze świata, na trzeciej o życiu w mieście, zaś całą stronę czwartą poświęcono ogłoszeniom. Oto jedno z nich: „Obywatele! W niemieckich mieszkaniach pozostało dużo książek i papieru. Prosimy nie palić i nie niszczyć. W najbliższym czasie zorganizujemy zwózkę tego cennego surowca, który będzie potrzebny do wyrobu nowego papieru. Oddział Informacji i Propagandy w Gorzowie". Jego szefem był Tadeusz Drzazga.

W trzy miesiące po ukazaniu się pierwszego numeru „Ziemi Gorzowskiej" wydrukowano w tej samej drukarni pierwszy numer tygodnika o podobnym jak poprzedni, ale bardziej dojrzałym dziennikarsko kształcie. Tygodnik ten nosił tytuł „Ziemia Lubuska", a podtytuł: „pismo pionierów odzyskanych powiatów Ziemi Lubuskiej i Pomorza Zachodniego". Pismo to, wydawane i finansowane przez poznańską ekspozyturę Urzędu Informacji i Propagandy w Gorzowie redagowali dziennikarze sprowadzeni z Poznania: Józef Szulczyński, Albin Wietrzykowski, kierownikiem administracyjnym był Jan Cieślik. Nakład „Ziemi Lubuskiej" wahał się od 3000 do 6000 egzemplarzy.

W pierwszym numerze redakcja tak sformułowała swój program: „*Ziemia Lubuska* – obecnie tygodnik – w niedalekiej przyszłości dziennik – ma za zadanie docierać w miarę możliwości komunikacyjnych do każdej wioski, każdego osiedla i miasta Ziemi Lubuskiej. ...Pamiętać musimy wszyscy, że od nas tutaj osiadłych zależy przyszłość tej ziemi, którą musimy zaludnić zagospodarować i spolszczyć. Trud to nielada, ale dokonać go musimy, nie oglądając się na nikogo... Warunki bezpieczeństwa nie wszędzie są takie, by spokojnie można pracować. Dlatego w pierwszym rzędzie domagamy się wprowadzenia w jak najkrótszym czasie ładu i porządku. Zadaniem *Ziemi Lubuskiej* będzie podnosić czyny jednostek zdrowych moralnie, wartościowych obywateli – osiedleńców. Piętnować natomiast wszelkie wykroczenia tych *obywateli*, którzy przyjechali na te ziemie w celu łatwego wzbogacenia się, dla których dewizą jest: co państwowe to niczyje. Walkę o ład i poszanowanie prawa podejmujemy z pełną świadomością ciążących na nas obowiązków wobec demokratycznej Polski i narodu. Wdzięczne i zarazem trudne zadanie bierze na swe barki *Ziemia Lubuska*, łamy której otworem stoją dla wszystkich zdrowych poczynań".

Gazeta miała stosunkowo bogaty serwis agencyjny z kraju i ze świata, zamieszczany na 1 i 2 stronie pisma. Strony 3 i 4 zawierały informacje z miasta, komunikaty władz miejskich oraz ogłoszenia, które stanowiły poważne źródło dochodów dla administracji pisma. W pierwszym numerze ogłoszono, że „chłopcy do roznoszenia gazet mogą zaraz zgłosić się w administracji pisma"oraz podano spis punktów sprzedaży pisma w Gorzowie. Wynikało z niego, że gazety sprzedawano w księgarni spółdzielczej „Książka" i w kioskach spożywczych. Mimo trudności z pozyskiwaniem serwisu prasowego i z kolportażem „Ziemia Lubuska" zdo-

była sobie dużą poczytność. Redakcja utworzyła przedstawicielstwa w wielu miastach powiatowych, m.in. w Zielonej Górze, w Międzyrzeczu, w Skwierzynie, w Myśliborzu, w Krośnie Odrzańskim, w Strzelcach Krajeńskich, w Słubicach, Świebodzinie i w Sulęcinie. Od 3 lutego 1946 r. na trzeciej stronie, pod wspólnym tytułem „Z naszych stron" tygodnik zamieszczał informacje ze wszystkich miejscowości, w których znajdowały się oddziały redakcji. Z informacji wynikało, że życie na Ziemi Lubuskiej stopniowo stabilizowało się. Od tego też numeru „Ziemia Lubuska" była już pismem ilustrowanym, co dowodziło zwiększonych możliwości gorzowskiej drukarni. „Ziemia Lubuska" z 3 marca 1946 przyniosła informację Albina Wietrzykowskiego pt. „Gorzów w cyfrach po roku jego odzyskania": „Dawniejszy Landsberg liczący przed wojną 46 000 mieszkańców poważnie zmienił po wojnie swoje oblicze. Przede wszystkim stał się polskim Gorzowem. Jakkolwiek fala wojny pozostawiła poważne szkody w centrum miasta, to jednak rozbudzone w nim polskie życie nabrało niespodziewanego rozpędu. Świadczy to najdobitniej o obiecującej przyszłości miasta. Według zestawienia meldunkowego, sporządzonego 31 grudnia 1945 roku, Gorzów liczył w tym dniu 17 453 Polaków, 2200 Niemców i 40 ludzi innej narodowości, razem 19 693 mieszkańców. Przyrost w grudniu obejmował 1312 Polaków. Gorzów liczy obecnie 2521 nieruchomości zdatnych do użytku. Nadal zniszczonych jest jeszcze 678 obiektów, czyli ok. 25 procent".

Zapowiedzianego, następnego sprawozdania z życia miasta za rok 1946 redakcja nie mogła przedstawić swoim czytelnikom, gdyż w kwietniu 1946 r. gazeta przestała się ukazywać.

Wiesław Nodzyński

Spotkanie z Syreniuszem

Z PRZYGÓD BIBLIOFILA

W zbiorze XVII-wiecznych poloników przechowywanych w Zielonogórskiej Książnicy im. Cypriana Norwida zwraca uwagę obszerny pięcioksiąg Szymona Syreniusza zatytułowany „Zielnik, herbarzem z języka łacińskiego zowią", wydany w Krakowie w 1613 r.

Z dziełem Syreniusza wiąże się przedziwna przygoda, którą przeżyłem przed ponad trzydziestoma laty jako szef norwidowskiej biblioteki. W końcu lat 60. Wydział Kultury WRN powiadomił mnie, iż pewien rolnik spod Nowej Soli w nadesłanym liście informuje, że posiada starą księgę dedykowaną królewnie Annie, siostrze Zygmunta III Wazy, którą skłonny byłby odstąpić za odpowiednim wynagrodzeniem. Zaciekawiony, nie zwlekając, pojechałem do owego rolnika, który jednak oświadczył, że nic nie wie o starej księdze, a listu do Wydziału Kultury nie wysyłał.

Dane w przekazanym mi liście nie pozostawiały jednak żadnych wątpliwości: adres i nazwisko wskazywały jednoznacznie na mojego rozmówcę, który zapewne przestraszył się „osoby urzędowej", obawiając się, że przyjechałem, aby mu księgę skonfiskować. Uspokoiłem więc autora listu, że nikt nie ma prawa pozbawić go jego własności. Powiedziałem jednak, że podobnie jak dzieła sztuki, również zabytkowe księgi podlegają ewidencji, a osoby uchylające się od ich ujawnienia naruszają ustawę o ochronie zabytków. Dodałem, że chciałbym jedynie obejrzeć księgę i sporządzić jej opis. Okazało się jednak, że to nie nadawca listu jest właścicielem starodruku, tylko jego krewniak, Bartłomiej Krochmalczyk, mieszkający w Miodnicy pod Żaganiem.

Wybrałem się więc do Miodnicy i – bez trudu – odnalazłem pod wskazanym adresem właściciela księgi. Bartłomiej Krochmalczyk był czerstwym starcem, pełnym władz nie tylko fizycznych, lecz również umysłowych. I on początkowo potraktował mnie nieufnie, lecz po zapewnieniu, że chciałbym jedynie obejrzeć księgi – sięgnął pod łóżko, skąd wydobył, pieczołowicie owinięty w sukno, opasły, oprawny w skórę starodruk.

Drukiem dedykowanym Annie Wazównie okazał się „Zielnik" Syreniusza, składający się z pięciu współoprawnych ksiąg o objętości 3126 stron, w tym 46 nieliczbowanych. Pomimo starannej oprawy w skórę, stan zachowania księgi wskazywał na jej częste użytkowanie: kilka pierwszych kart zastąpiono rękopiśmiennymi kopiami, podobnie pewne dalsze ubytki tekstu. Wiedziałem, że „Zielnik" Syreniusza należał do szczególnie popularnych dzieł w piśmiennictwie staropolskim, jednak dzieje egzemplarza, który trzymałem w ręku, opowiedziane przez p. Bartłomieja, były wręcz zadziwiające i na zawsze utkwiły mi w pamięci.

Rodzina Krochmalczyków osiadła w Miodnicy w 1945 r. Przybyli z kresów wschodnich wraz z pierwszą falą przesiedleńców. W skromnym dobytku przywiezionym spod Stolina (w dawnym woj. brzeskim) rzeczą najcenniejszą był pieczołowicie przechowywany „Zielnik". Księgę od niepamiętnych czasów - zwierzał się p. Bartłomiej - dziedziczyły kolejne pokolenia Krochmaczyków. Była niezwykle ceniona jako poradnik lekarski. Pan Bartłomiej doskonale pamięta, jak ojciec – posługując się „Zielnikiem" – aplikował określone zioła na konkretne choroby nie tylko członkom rodziny, lecz również okolicznym sąsiadom. Już jako chłopiec Bartek pomagał ojcu zbierać zioła, stopniowo zapoznawał się z zasadami ich stosowania. Z czasem „Zielnik" nie krył przed p. Bartłomiejem żadnych tajemnic i doskonale wiedział, jakie zioła zaleca Syreniusz na określone dolegliwości. Krąg osób korzystających z jego porad stale się powiększał i wkrótce nie tylko rodzina i krewni, lecz również bliżsi i dalsi sąsiedzi przychodzili z prośbą o udzielenie pomocy w ich dolegliwościach.

I tak Bartłomiej Krochmalczyk stał się domorosłym, wiejskim lekarzem, który w okresie międzywojennym, a także w czasie ostatniej wojny leczył mieszkańców rejonu Stolina. Podstawowym źródłem jego wiedzy medycznej był „Zielnik" Syreniusza oraz doświadczenia wynikające z praktyki terapeutycznej. Wiedzę tę pogłębiał, zapoznając się z nowszymi opracowaniami z dziedziny ziołolecznictwa, wydaniami rosyjskimi i niemieckimi, gdyż znał język zarówno naszego wschodniego, jak i zachodniego sąsiada. Najważniejszym i najbardziej cenionym podręcznikiem dla mojego rozmówcy pozostało jednak dzieło Syreniusza.

Brak ośrodka zdrowia w bliskiej okolicy oraz pozytywne rezultaty stosowanej przez p. Bartłomieja terapii zyskały mu dużą popularność i szacunek w środowisku wiejskim, a także zapewniły niewyszukane środki bytowania. Jednak gdy w gminie powstał w 1943 r. ośrodek zdrowia, sowieckie lekarki zaczęły prześladować ludowego konkurenta, widząc w nim niewykształconego znachora, a nawet szarlatana. „Wkrótce zmieniły zdanie" – opowiadał p. Bartłomiej. „Leczyły na dolegliwości wewnętrzne pewnego mojego sąsiada, nawet przez czas dłuższy, ale bezskutecznie. Rzecz dotyczyła chorej wątroby, na co Syreniusz zaleca aplikowanie określonych ziół, z reguły z bardzo dobrym skutkiem. Gdy po pewnym czasie przekonały się, że stosowane przeze mnie zioła odniosły pożądany skutek – przestały mi dokuczać", zakończył swą opowieść mój rozmówca.

Jak zdołałem wywnioskować, Bartłomiej Krochmalczyk ukończył zaledwie szkołę elementarną, posiadał jednak wrodzoną inteligencję, mówił poprawną polszczyzną, logicznie formułując myśli. W czasie rozmowy uświadomiłem sobie, że już od długiego czasu mój szwagier choruje na egzemę, z którą oficjalna medycyna – w każdym razie w jego przypadku – jakoś sobie nie potrafiła poradzić. Powiedziałem o tym p. Bartłomiejowi, który uśmiechnął się i oświadczył, że Syreniusz zaleca w tym przypadku stosowanie napojów z dwóch rodzajów ziół, które skutkują radykalnie, o czym przekonał się w czasie swojej 50-letniej praktyki. Poszedł do komórki po te zioła, które jak miałem się przekonać – istotnie, diagnozowane według wskazań p. Bartłomieja, wyleczyły szwagra z egzemy całkowicie.

W taki to sposób poznałem człowieka, który przez pół wieku w swej rodzinnej wsi za Bugiem leczył ludzi posługując się zielnikiem sprzed bez mała 350 lat. Jak to było możliwe? Czyż stary zielnik nie uległ w ciągu kilku wieków deaktualizacji? Podejmując próbę odpowiedzi na to pytanie, zacznijmy od osoby autora „Zielnika".

Szymon Syreniusz (Syreński) żył w latach 1540-1611. Był filozofem, przede wszystkim jednak przyrodnikiem, lekarzem i botanikiem. Studiował w Akademii Krakowskiej, w której w 1569 r. uzyskał stopień magistra nauk wyzwolonych. W 1570 r. zapisał się na uniwersytet w Ingolstadcie, przebywał również ponad 3 lata we Włoszech i w Padwie, w 1577 r., uzyskał doktorat medycyny. Podczas licznych podróży zagranicznych po Niemczech, Węgrzech i Szwajcarii zbierał wiadomości i dokonywał obserwacji miejscowych roślin leczniczych. Zwiedził słynne ogrody botaniczne: książęcy w Heidelbergu, Fuggerów w Augsburgu, a także ogród w Monguncji. Badał też florę Podola, Pokucia, okolic Kamieńca i Lwowa, a ponadto florę górską Bieszczad i Babiej Góry. Po powrocie z Włoch praktykował jako lekarz we Lwowie, skąd wezwany został w 1589 r. do objęcia profesury na Uniwersytecie Krakowskim.

„Zielnik" jest owocem ponad 30-letniej pracy Syreniusza, jego studiów krajowych i zagranicznych, rezultatów własnej praktyki oraz krytycznego wykorzystania dorobku piśmienniczego starożytnych i współczesnych mu autorów zielników, z łacińska zwanych herbarzami. Początkowo liczyć miał 8 ksiąg, jak o tym świadczy zapowiedź w podtytule „na ośmioro ksiąg rozłożony", jednak perturbacje związane z drukiem „Zielnika" i śmiercią jego autora doprowadziły do zaginięcia części zgromadzonych przez Syreniusza materiałów. Wybitny staropolski botanik nie doczekał bowiem ukazania

Szymon Syreniusz.

się swojego „opus vitae" drukiem, gdyż zmarł 29 marca 1611 r., gdy dopiero rozpoczęto tłoczenie jego herbarium w krakowskiej drukarni Loba. Prace jednak, z braku funduszy, przerwano. Zostały wznowione przez innego drukarza, Bazylego Skalskiego, gdy z pomocą finansową pospieszyła królewna Anna, miłośniczka botaniki. Przygotowaniem dalszych materiałów do druku zajął się uczeń Syreniusza, profesor Gabriel Joannicy, autor przedmowy i tekstu dedykacji.

Każda z pięciu ksiąg dzieli się na rozdziały, przy czym niemal każdy rozdział poświęcony jest innej roślinie, omówienie niektórych obejmuje jednak kilka rozdziałów. Na początku opisu podana jest polska nazwa rośliny i jej synonimy, następnie nazwy w językach łacińskim i niemieckim. Autor wyodrębnia gatunki danego rodzaju i podaje charakterystyczne cechy, po których można je rozróżnić. Pod nazwą występuje wyobrażenie kwitnącej rośliny (w drzeworycie) z korzeniami, a nierzadko również z owocami i nasionami. W

opisie morfologicznym autor uwzględnia poszczególne części rośliny: łodygę, korzeń, kwiat, niekiedy również owoc lub nasiona. Po opisie rośliny autor podaje miejsce jej występowania, zwraca uwagę na wymagania glebowe i klimatyczne, a niekiedy podaje dane o jej pochodzeniu i uprawie. W dalszej kolejności omawia warunki i okres zbioru oraz sposoby przechowywania zebranej rośliny.

Pod tytułem „Moc i skutki" opisuje właściwości terapeutyczne rośliny, jej przydatność w określonych dolegliwościach, a także sposoby przyrządzania leków i różnorodnych przetworów roślinnych: maści, olejków, plastrów oraz syro-

Karta tytułowa „Zielnika".

pów, ekstraktów i olejków. Formułuje zalecenia w sprawie ich dawkowania i sposobów użycia.

Zwraca również uwagę na przeciwwskazania w stosowaniu omawianych ziół, a w zakończeniu prostuje błędne wiadomości o roślinie, rozpowszechnione przez uczonych starożytnych i późniejszych, podaje także praktyczne wskazówki przydatne aptekarzom i lekarzom, odnoszące się do korzystania z ziół. Uwzględnia zarówno rośliny polskie, jak i obce, czerpie dużo z zielarskiego piśmiennictwa, ale powołuje się również na własne doświadczenia i obserwacje, które umożliwiają mu prostowanie błędnych opinii. Główną uwagę zwraca na własności lecznicze roślin, ale wskazuje również na ich własności odżywcze, pisze m. in. o sposobie przyrządzania chlebów pszennego i jęczmiennego. Omawia także warunki uprawy i przechowywania ziół. Ogółem „Zielnik" Syreniusza uwzględnia 765 roślin, w tym wiele z flory polskiej. Krytycznie sumuje ówczesną wiedzę o medycznym stosowaniu ziół, której tradycje sięgają bardzo odległych czasów.

Stosowanie leków opartych na wykorzystaniu właściwości roślin znane bowiem było już plemionom pierwotnym. W kręgu rozwiniętej kultury sumero-akadyjskiej, sięgającej 3500 lat p.n.e., ówcześni lekarze wystawiali recepty pismem klinowym na glinianych tabliczkach, w których preferowali jako leki głównie zioła i sporządzone z nich mikstury. Wiedzę o terapeutycznych własnościach ziół rozwijali Egipcjanie i Grecy oraz Rzymianie. Tę starożytną spuściznę przejęli uczeni doby średniowiecza, zarówno łacińskiej Europy Zachodniej, jak i – w jeszcze większym stopniu – Europy Południowej oraz Bliskiego Wschodu, pozostających w kręgu kultury islamu. Uczeni muzułmańscy nie tylko przyswoili kulturze arabskiej dorobek nauki antycznej, lecz twórczo go rozwinęli, m. in. w takich ośrodkach jak Bagdad, Kair i Kordoba, aby – poprzez kontakty uczonych – przekazać Europie chrześcijańskiej. Arcybiskup Toledo, Rajmund, w 1130 r. założył słynną toledańską akademię tłumaczeń na język łaciński najsłynniejszych autorów arabskich, szczególnie filozofów i lekarzy, których traktaty wzbogaciły wiedzę o medycynie uczonych arabskich w kręgach medyków Europy Zachodniej.

W nawiązaniu do wielowiekowego dorobku różnorakich kultur, w zachodnich ośrodkach monastycznych powstały w dobie średniowiecza liczne herbarze oraz traktaty o leczniczej mocy ziół. Spopularyzował je wynalazek druku, a w jeszcze większym stopniu – upowszechniły publikacje w językach narodowych.

W Polsce pierwszy drukowany zielnik, tłumaczony z tekstu łacińskiego I. Fuchsa przez Stefana Falimirza pt. „O ziołach i mocy ich", wydany został w Krakowie u F. Unglera w 1534 r. Jego dwie dalsze przeróbki opuściły prasy drukarskie w 1542 i 1568 r. W 1595 r. ukazał się z kolei tłoczony w Drukarni Łazarzowej w Krakowie „Herbarz polski" Marcina z Urzędowa. Jednak żaden z tych herbarzy nie może równać się z okazałym zielnikiem Syreniusza. Miał on, zgodnie z intencjami autora i wydawcy, odpowiadać na zapotrzebowanie szerokiego grona jego potencjalnych użytkowników, do których w podtytule dzieła zaliczono: lekarzy, aptekarzy, cyrulików, balbirzów (balbierz – golibroda, felczer), rastruchar-zów (hodowców i sprzedawców koni) końskich lekarzy, mastelarzy (starszych stajennych), ogrodników, kuchmistrzów, kucharzy, szynkarzy, gospodarzy, mamki, panny i panie.

Współcześni właściwie ocenili wielkość dzieła Syreniusza. Starowolski pisał o nim: „Syreniusz dlatego szczególnie znamienite między medykami otrzymał imię, że znajomością ziół celując, naukę o ich własnościach i skutkach ojczystą mową wyłożoną nam zostawił". Z kolei ks. B. S. Jundziłł tak o nim pisze w książce „Opisanie roślin w prowincji Wielkiego Księstwa Litewskiego" z 1791 r.: „...najsławniejsze w owym wieku, y aż do naszych czasów iest dzieło Symona Syreniusza ...Dzieło godne zaiste poszanowania, z którem w

owych wiekach przyjęte było, godne y teraz naszego poważania, iako zawierające w sobie wszystkie znaiome pod ów czas około roślin lekarskich obserwacje".

Wysoka ocena zielnika Syreniusza wynikała w niemałej mierze z jego praktycznej przydatności. Zawarte w dziele opinie i zalecenia zachowały w wielu przypadkach swoją wartość do czasów obecnych. Dla przykładu można wspomnieć, że i dziś lawenda uważana jest za ziele pomocne w bólach głowy i zaburzeniach nerwowych, a jej zapach „od molów szaty zachowuje". Badania współczesne potwierdziły również, że cebula morska leczy obrzęki. To jej działanie szczególnie eksponuje Syreniusz pisząc: „Puchliznę potężnie z ciała wywodzi". Podobnie krwawnik stosowany jest obecnie w postaci soku przy krwotokach płucnych. Już jednak Syreniusz zalecał: [Przy] „charkaniu krwią weźmi... 5 łyżek świeżego [krwawnika]". Przykłady można byłoby mnożyć. Wyjaśniają one ten zadziwiający przypadek posługiwania się przez Bartłomieja Krochmalczyka księgą jeszcze w wieku XX.

Po wysłuchaniu opowieści p. Bartłomieja wyraziłem chęć nabycia „Zielnika" do zbiorów zielonogórskiej biblioteki. I tu nowa niespodzianka! Mój rozmówca oświadczył, że – owszem – chętnie przekaże bibliotece księgę, lecz w zamian oczekuje przyznania mu renty. Tego warunku jednak ani biblioteka, ani Wydział Kultury nie mogły spełnić. „Zielnik" Syreniusza pozostał więc własnością rodu Krochmalczyków, który szczycił się jego posiadaniem od niepamiętnych czasów.

Niespełna chyba rok po mojej rozmowie z p. Bartłomiejem pewien mężczyzna odwiedził bibliotekę oferując za niewygórowaną cenę, 3 tom Syreniuszowego „Zielnika", który powiększył kolekcję starodruków w Dziale Specjalnym WiMBP im. C. Norwida. Kilka lat później książnica nabyła w krakowskim antykwariacie wszystkie 5 ksiąg „Zielnika".

Bibliografia:

Bibliografia literatury polskiej, „Nowy Korbut" 3, Warszawa 1965, s. 303-304; S. Estreicher, *Bibliografia polska*, t. 30, Kraków 1934, s. 172-174; M. Chmielińska, *Polska bibliografia zielarstwa*, Warszawa 1954, s. 83-86, il.; M. Sawicka, *Szymon Syreński i jego dzieło*, „Wszechświat" 1958, z. 2, s. 43-47, il., portr.

Grzegorz Chmielewski

Telekomunikacja w Zielonej Górze w latach 1945-1955

Pierwsze telefony

Zielona Góra w czasie działań wojennych 14 i 15 lutego 1945 r. nie została zniszczona, za wyjątkiem kilku budynków. Miasto pozbawione zostało jednak łączności w związku z brakiem energii elektrycznej i wyłączeniem centrali telefonicznej.

W Zielonej Górze telekomunikacja działała już w drugiej połowie XIX wieku. Początkowo świadczone były usługi telegraficzne, a później telefoniczne. Przez Zieloną Górę przebiegała trasa kabla telegraficznego w relacji Wrocław – Zielona Góra – Krosno Odrzańskie – Berlin. Odcinek tego kabla przekazano w 1966 r. do Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu.

W kronice Urzędu Pocztowo-Telekomunikacyjnego w Świebodzinie odnotowano, że w 1867 r. uruchomiono połączenie telegraficzne na linii napowietrznej w relacji Zielona Góra – Sulechów – Świebodzin – Gorzów Wlkp. Na łączu tym do wymiany korespondencji zastosowano aparaty telegraficzne typu Morse'a. Pierwszą rozmównicę telefoniczną uruchomiono w Zielonej Górze w 1886 r.

Na początku XX wieku w Zielonej Górze istniała ręczna centrala telefoniczna w budynku przy pl. Pocztowym. Łącza abonenckie i międzymiastowe napowietrzne wprowadzone były do centrali za pomocą wieży – stojaka zlokalizowanego na wysokości zegara. W okresie międzywojennym do budynku Urzędu Pocztowo-Telekomunikacyjnego dobudowane zostało skrzydło od strony ul. ks. P. Wawrzyniaka. W nowej części budynku zainstalowano w 1936 r. centralę automatyczną systemu Siemens typu S-29 o pojemności 800 numerów, centralę międzymiastową o sześciu stanowiskach oraz przełącznicę główną i urządzenia zasilające.

Taki stan urządzeń zastała w maju 1945 r. grupa łącznościowców przybyła z Legnicy pod kierownictwem Józefa Stosio i z Poznania, kierowana przez Jana Grellusa. Naczelnik J. Grellus otrzymał z Dyrekcji Okręgu Poczty i Telegrafów w Poznaniu pełnomocnictwo zorganizowania Obwodowego Urzędu Pocztowo-Telekomunikacyjnego w Zielonej Górze, a J. Stosio na zorganizowanie Rejonowego Urzędu Telefoniczno-Telegraficznego w Zielonej Górze. W lipcu 1945 r. po podporządkowaniu obwodu – powiatu zielonogórskiego wojewo-

Urząd Pocztowo-Telekomunikacyjny na początku XX wieku.

dzie poznańskiemu – J. Stosio przeniósł się do Nowej Soli, gdzie rozpoczął organizację Rejonowego Urzędu Telefoniczno-Telegraficznego w Nowej Soli.

Okres odbudowy 1945-1950

W Zielonej Górze pierwszym organizatorem telekomunikacji był naczelnik Franciszek Ryszkowski. W końcu lipca 1945 r. na podwórze urzędu na pl. Pocztowym przyjechał oddział żołnierzy radzieckich, jak wspominają pracownicy, w celu zdemontowania centrali. Dzięki inicjatywie i odpowiedniej argumentacji Jana Chimiaka popartej prezentem w postaci roweru i innymi podarkami żołnierze wyjechali samo-

Pracownicy poczty i telekomunikacji przed budynkiem OUPT – Zielonagóra 1945 r. W pierwszym rzędzie stoją: S. Zadka, NN, J. Chimiak, G. Grellus, J. Wojciechowski, P Tuliszka, NN; w drugim rzędzie: S. Wieczorek, F. Pawuła, F. Musielak, J. Espener, NN.

chodem z podwórza pozostawiając na miejscu centralę telefoniczną.

W dniu 4 sierpnia 1945 r. zespół pracowników pod kierownictwem pierwszego naczelnika i przy współudziale pracowników byłej poczty niemieckiej uruchomił część centrali automatycznej o pojemności 200 numerów i centralę międzymiastową.

W tym czasie w RUTf-Tg pracowali monterzy Stanisław Zadka i Stefan Wieczorek, którzy przybyli do Zielonej Góry z Wolsztyna razem z naczelnikiem J. Grellusem. Z Poznania i Wielkopolski oraz Ziem Wschodnich przyjechali do Zielonej Góry i podjęli pracę w telekomunikacji J. Chimiak, K. Górniak, A. Bulczyński, P. Hańczak, Stefan Stepanik oraz telefonistki Kazimiera Tuliszka(Flis), Zofia Zielińska, Bronisława Majówna i K. Duńska.

We wrześniu 1945 r. kierownictwo RUTf-Tg przejął Stanisław Jackowski, kierownikiem sieci miejscowej był Kazimierz Twarowski, a sieci rejonowej Karol Górniak. Kierownikiem działu ogólnego, któremu podlegała służba ruchu i okienkowa był Henryk Lisicki. Czynna była centrala międzymiastowa obsługiwana przez telefonistki: J. Trajkowską (Paciorek), Z. Szymankiewicz, H. Olejniczak, G. Czechowicz, K. Tuliszkę i inne. Centrala międzymiastowa umożliwiała połączenia z Sulechowem, Wolsztynem i Nową Solą oraz z centralami na terenie powiatu zielonogórskiego: Przylepem, Czerwieńskiem, Otyniem, Bojadłami i innymi placówkami pocztowo-telekomunikacyjnymi.

W dniu 9 października 1945 r. uruchomiono łącze międzymiastowe do Krosna Odrzańskiego, a pierwszą rozmowę przeprowadził naczelnik UPT Krosno Odrzańskie J. Borkowski z naczelnikiem RUTf-Tg Zielona Góra St. Jackowskim. 15 października 1945 r. uruchomiono dwa łącza międzymiastowe do Nowej Soli.

W wydanym w listopadzie 1945 r. pierwszym „Informatorze miasta Zielonejgóry" umieszczony został również spis telefonów, zawierający 84 abonentów. Telefony były zainstalowane między innymi w następujących instytucjach:

1. Pełnomocnik Rządu RP, ul. Stalina 6	nr tf 100
2. Zarząd Miejski, Stary Rynek 1/2	nr tf 101
3. Narodowy Bank Polski, ul. Bankowa 3	nr tf 111
4. Komunalna Kasa Oszczędności, ul. Stalina 2	nr tf 116
5. Państwowy Urząd Repatriacyjny, ul. Licealna 5	nr tf 119
6. Milicja Obyw. – Komenda Pow., ul. Chrobrego 3	nr tf 102
7. Hotel „Polonia", ul. Kopernika 14	nr tf 202
8. Elektrownia Okręgowa, ul., Pionierska 12	nr tf 128
9. Księgarnia Bogaczyk, ul. Żeromskiego 12	nr tf 121
10. Sąd Grodzki, pl. Słowiański 1	nr tf 203
11. Powiatowy Urząd Zdrowia, ul. Stalina 10	nr tf 207
12. Naczelnik Obw. Urzędu Poczty, pl. Pocztowy 1	nr tf 502
13. Naczelnik RUTf-TG, pl. Pocztowy 1	nr tf 512

Ul. Stalina – to obecnie al. Niepodległości.

Telefony były zainstalowane także w zakładach rzemieślniczych, sklepach i biurach organizacji społecznych i politycznych.

Na koniec 1945 r. na centrali międzymiastowej zakończonych było 20 łączy. Początkowo centrala czynna była w ograniczonym czasie, tj. od godz. 8-19 (również w niedziele i święta). Czynne były następujące numery specjalne:

00 – zamawianie rozmów m/m
04 – biuro napraw telefonów,
08 – informacja o numerach telefonicznych,
808 – przyjmowanie telegramów telefonem.

Urządzenia centrali międzymiastowej zainstalowane były na pierwszym piętrze w budynku przy ul. ks. P. Wawrzyniaka (w dobudowanej części w okresie międzywojennym), a automatycznej centrali miejscowej – na tej samej kondygnacji od strony podwórza.

W tym samym czasie w Czerwieńsku czynna była centrala ręczna MB-5NN, do której podłączone były telefony Urzędu Miasta, Posterunku MO i rozmównicy w UPT. W miarę napływu ludności polskiej uruchamiano dalsze stacje telefoniczne.

Główną trudnością w uruchamianiu abonentów był brak planów sieci i przebiegu kabli na terenie miasta. Na wiosnę 1946 r. z inicjatywy R. Zajkowskiego uruchomiona została w Starostwie Powiatowym centrala automatyczna abonencka o pojemności 25 numerów, a w kwietniu 1946 r. w Przylepie uruchomiono centralę telefoniczną typu Siemens 34a o pojemności 30 numerów.

Dzięki uruchomieniu warsztatu teletechnicznego przy ul. Jeleniej do wiosny 1946 r. wyremontowano 250 aparatów telefonicznych biurkowych i ściennych, 36 łącznic ręcznych MB i CB o pojemności 3-50 numerów i jedną łącznicę automatyczną.

W 1946 r. uruchomiono ponadto na terenie pow. zielonogórskiego centrale w Zawadzie, Raculi, Letnicy, Ochli, Otyniu, Zaborze, Bojadłach, Kolsku i Niedoradzu.

W latach 1946-1947 rejonem kierował w dalszym ciągu naczelnik St. Jackowski, a kierownikiem sieci miejscowej był K. Twarowski. Kierownikiem sieci rejonowej został R. Zajkowski, a kierownikiem nadzoru teletechnicznego (teren powiatu) był J. Chimiak.

Niezależnie od prac wykonywanych przy instalacji stacji, naprawie i remoncie linii napowietrznych na terenie powiatu istotnym zagadnieniem było gromadzenie różnych typów aparatów, central abonenckich, osprzętu liniowego, przewodów i kabli w magazynach, a następnie ich segregowanie lub naprawa albo wysyłanie do remontów w Warsztatach Okręgowych w Poznaniu.

Na koniec 1948 r. czynnych było w Zielonej Górze 505 abonentów i 12 central abonenckich o poj. 230 numerów, a ponadto stelefonizowano w powiecie wszystkie wsie sołeckie.

Na centrali międzymiastowej składającej się z 6 stanowisk zakończonych było 51 łączy, dzięki temu zrealizowane były połączenia do Poznania, Wrocławia, Gorzowa Wlkp., Legnicy, Leszna, Nowego Tomyśla i innych miast powiatowych.

W 1949 r. nastąpiła zmiana na stanowisku naczelnika. Nowym naczelnikiem został Zdzisław Radecki. W tym samym czasie zespół telefonistek centrali międzymiastowej w składzie: M. Drecka, K. Flis, G. Czechowicz, Br. Majówna, H. Olejniczak, J. Paciorek, Z. Szymankiewicz, A. Wrembel, zdobył pierwsze miejsce w konkursie na najlepszą centralę międzymiastową w okręgu poznańskim.

W okresie tym w służbach technicznych i monterskich występowały duże braki kadrowe. Dla podniesienia kwalifikacji pracowników organizowane były przez Dyrekcje Okręgu w Poznaniu kursy na poziomie monterskim i technicznym. Kurs taki miedzy innymi ukończył St. Stepanik, który przez 40 lat pracował przy konserwacji central abonenckich.

Pierwsze lata w województwie zielonogórskim

1 lipca 1950 r. Zielona Góra została stolicą województwa zielonogórskiego. Nastąpił dynamiczny rozwój miasta. Powstają nowe instytucje i jednostki organizacyjne. Rośnie gwałtownie zapotrzebowanie na nowe stacje telefoniczne i usługi telekomunikacyjne, a przede wszystkim rozmowy międzymiastowe do Warszawy i do powiatów z terenu województwa, a głównie do Gorzowa Wlkp.

W 1950 r. w województwie zrealizowano 1320 tys. rozmów międzymiastowych wychodzących i około 800 tys. rozmów tranzytowych. Do centrali w Zielonej Górze podłączonych było 840 abonentów telefonicznych.

Wraz z utworzeniem województwa wzrosło także zapotrzebowanie na usługi telegraficzne, a szczególnie teleksowe. Dla złagodzenia trudnej sytuacji zostają uruchomione bezpośrednie łącza w relacji Warszawa – Zielona Góra, dodatkowe łącza do Poznania i Wrocławia, a także do Gorzowa Wlkp. i Strzelec Krajeńskich oraz miast powiatowych z południowych części województwa (Szprotawa, Wschowa).

Utworzona zostaje także wojewódzka sieć telegramowa. Sieć tą uruchomiono przy zastosowaniu dalekopisów St – 35, produkcji radzieckiej z okresu wojny (z demobilu) wyposażonych w klawiaturę polską i czcionki alfabetu łacińskiego. Dalekopisy zainstalowane były we wszystkich miastach powiatowych i połączone łączami telegraficznymi prądu stałego z koncentratorem telegraficznym o poj. 30NN produkcji Niemieckiej (RFT), zainstalowanym w Zielonej Górze. Stąd telegramy przekazywane były po łączach „sztywnych" do Warszawy, Poznania lub Wrocławia.

W 1951 roku naczelnik Zd. Radecki przenosi się do Szczecina, a kierownictwo RUTf-Tg powierzono na kilka miesięcy L. Nieruchalskiemu, a następnie P. Hańczakowi kierownikowi centrali automatycznej.

W 1952 r. zgodnie z zarządzeniem Ministra Poczt i Telegrafów utworzono w Zielonej Górze Dyrekcję Okręgu Poczty i Telekomunikacji dla województwa zielonogórskiego podporządkowaną bezpośrednio Ministrowi. Początkowo siedziba dyrekcji mieściła się w Poznaniu, a po skompletowaniu obsad i wybudowaniu biurowców przy ul. Wyspiańskiego (w miejscu dzisiejszego hotelu „POLAN"), przeniesiona została do Zielonej Góry.

Z chwilą utworzenia dyrekcji podjęto decyzje o budowie w Zielonej Górze nowej automatycznej centrali telefonicznej i centrali międzymiastowej ręcznej oraz rozbudowie miejscowej sieci kablowej. Po opracowaniu dokumentacji projektowo-kosztorysowej na budowę centrali przez Biuro Studiów i Projektów Łączności w Poznaniu i wykonaniu stosownych adaptacji budowlanych, przystąpiono do instalacji urządzeń. Montażu dokonała kolumna Poznańskiego Przedsiębiorstwa Robót Telekomunikacyjnych pod kierownictwem Jana Tomczaka. Zakończenie prac i przełączenie abonentów nastąpiło w lipcu 1955 r. W tym też roku uruchomiono nową centralę międzymiastową na szesnaście stanowisk i 120 łączy.

Na centrali zakończone były łącza do miast powiatowych na terenie województwa oraz Warszawy, Poznania, Wrocławia i Legnicy. Wraz z centralami wybudowano nową siłownię wraz urządzeniami zasilającymi i przełączalnię główną z pomiarownią łączy i całodobową obsługą.

Dla umożliwienia przyłączenia kolejnych abonentów szczególnie na nowych osiedlach (Chrobrego i Wyspiańskiego), rozbudowano sieć kablową na terenie miasta. Na al. Niepodległości w budynku szkoły muzycznej wybudowano rozdzielacz kablowy i ułożono nowy kabel do przełączalni głównej. Nowy kabel ułożono także do stacji wzmacniakowej przy ul. Wrocławskiej.

Wiktor Strzyżewski

Chodzi o to, żebyśmy jak najdłużej byli razem, blisko siebie

Było krótko przed północą. Do okna przywołał mnie krzyk srok, zasiedlających drzewa przed oknem. Wśród gałęzi, wysoko nad ziemią kot. Znam go z widzenia. Dobrze utrzymany, grzeczny, zapewne z dobrej rodziny. Często, ozdobiony czerwoną obróżka, przechadza się wśród zaparkowanych samochodów. Teraz zamienił się w jaguara. Polował raczej dla zabawy, zapewne nie z głodu. Ale sroki o tym nie wiedziały. Cóż zresztą za różnica, śmierć to śmierć. Z krzykiem atakowały kota, wrzeszczały skrzekliwie tak długo, aż zlazł z tego drzewa. Narażały się przy tym, gdyż kot tylko czekał na źle zaplanowany atak. Zielona Góra, to istotnie teraz miasto srok. Gdy zamieszkaliśmy przy ulicy Janka Krasickiego w roku 1962 [obecnie mieszkamy przy ulicy Ignacego Krasickiego, bez przeprowadzki] nie było tutaj srok nawet na lekarstwo. Teraz nie zdziwiłbym się gdyby wtargnęły do herbu miasta. Sugestię tę mógłby rozpatrzeć Pan Profesor Wojciech Strzyżewski, jako, że one naprawdę potrafią skutecznie bronić swojej małej ojczyzny.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia dostaliśmy telegram, o śmierci żony mojego szwagra. Pogoda fatalna, ale żona przemogła strach i pojechaliśmy do Gniezna. Mnie jednak zmuszała do tej podróży nie tylko ta smutna konieczność. Parę lat temu na pogrzebie w Poznaniu, mój drugi szwagier, poprosił mnie abym powiedział parę słów o jego zmarłej żonie. Takiej prośbie się nie odmawia. I wtedy, już po egzekwiach, podeszła do mnie kolejna szwagierka, dużo młodsza ode mnie i powiedziała: – Pamiętaj abyś mnie także pożegnał. Byłem zaskoczony, ale próbując nadać lekki ton tej prośbie odparłem: – Musisz spełnić jednak jeden warunek. Umrzeć przede mną. Nie zwróciła jednak uwagi na niedelikatność moich słów, tylko poważnie powiedziała: – Dobrze, ale pamiętaj! Przyrzekłeś. W ten sposób do Gniezna jechałem spełnić swój ciężki obowiązek. Musiałem wspomnieć o tym, że urodziła się na Ukrainie, że poznała trakt śmiertelny na Syberię, że w drodze do Polski zmarła jej matka, że wychowywała się w domu dziecka, że wreszcie dotarła do Polski, że w Lubaniu Śląskim zapoznała swego męża, że wreszcie pochowana jest w Gnieźnie co dla jej wnuków, jest zupełnie normalne i oczywiste, że dla dzieci swoich stworzyła tutaj ojczyznę, że los pogmatwał jej życiorys, że wreszcie śmierć wyzwoliła ją z tęsknoty za swoim dawnym domem. Ten życiorys można powielać dla setek tysięcy Polaków i prawie dla wszystkich zamieszkujących Ziemie Odzyskane.

Moi rodzice urodzili się na pograniczu dwóch światów, odwiecznych wrogów – „Jak świat światem nie będzie Niemiec Polakowi bratem" mówiono częściej niż gdzie indziej, w Kreis Bomst. Do roku 1793 ziemie te należały do Polski. Po roku 1918 moja babcia z pruskiego ongiś, Babimostu chodziła do niemieckiej Zielonej Góry przez zieloną granicę. W naszym domu w Gnieźnie, gdzie mama urodziła naszą trójkę, rodzice, gdy nie chcieli abyśmy uczestniczyli w ich rozmowie, mówili po niemiecku. W wieku 78 lat moja mama na moje nalegania i prośbę spisała swoje życie. Proste zdania, ze śladami niemieckiej gramatyki. Wszystkie rzeczowniki pisane z dużej litery. Bez słów używanych w górnych rejestrach stylistycznych, bynajmniej, aczkolwiek, być może, zapewne itd. Dla mnie jest to zapis wzruszający, ale równocześnie doznaję szoku poznawczego, czerpiąc wiedzę o dzieciństwie mojej mamy i o czasie, w którym żyli moi rodzice. Ta pięcioklasowa szkoła niemiecka, dała mamie na tyle wykształcenia, że opisała dokładnie Chobienice, gdzie przyszła na świat, i życie obyczajowe Mielżyńskich, gdzie pracował mój dziadek, służyła moja babcia, a potem jako kawiarka, w pałacu Państwa, roznosiła napoje moja mama. Szokująca jest wiedza dotycząca Zielonej Góry. W roku 1945 moja mama i jej brat, późną jesienią przyjechali do swojego brata Wojciecha Kinala, tak to wspominała: – „Pierwszy raz w Zielonej Górze byłam z bratem Stefanem. Podróż mieliśmy ciężką, siedzieliśmy na ziemi, tłok, pociąg co kawałek stawał. Gdy przybiliśmy do Zielonej Góry był późny wieczór, padał śnieg, ale nie mocno. Traf chciał, że pierwszego pana, którego zapytaliśmy, gdzie jest ulica Strzelecka, oświadczył, że mieszka blisko tej ulicy i że nas zaprowadzi. I tak nas prowadził może kilometr albo jeszcze dalej. Wreszcie doszliśmy do jakiejś osobnej wilki, on otworzył kluczem i szybko wszedł i zamknął za sobą na klucz, pokazał nam ręką na lewo i mówi, tu jest ulica Strzelecka. Idziemy coraz dalej, a tu jakieś połamane płoty całe kupy drutu kolczastego, a zabudowań nie ma. Okazało się, że ten pan bał się sam iść, bo to w tym czasie jeszcze było niebezpiecznie iść, więc sobie nas wziął do towarzystwa. Wróciliśmy się, ulicy nie można było znaleźć bo ciemno. Wreszcie zobaczyliśmy osobny oświetlony domek. Skierowaliśmy się tam i Stefan mówi, pytaj się ty bo oni się mężczyzn boją. Ja zapukałam do drzwi, od razu w całym domu światło zgasło. Ja pukam dalej, wreszcie mówię, czy państwo nie wiedzą, gdzie jest ulica Strzelecka. Po chwili się światło zaświeciło i wyszedł pan w laczkach na nogach, i zaprowadził nas kawałek, i pokazał kierunek, i wytłumaczył nam". Na tym nie koniec, jest jeszcze spotkanie z milicją, jakieś trudności, ale w końcu dotarli do brata, który w niewoli niemieckiej poznał swoją żonę i osiadł, jako wykształcony ogrodnik w Zielonej Górze. Ogrodnictwa uczył się jeszcze przed wojną w zakładzie Sióstr Zakonnych, św. Józefa w Poznaniu, na Ratajach. Mama moja pisze, że w Niemczech posłano go nawet na kurs „dywanów kwiatowych", gdyż jako ogrodnik pracował u jakiegoś wysokiej rangi wojskowego. To jest pierwszy zapis dotyczący brata mojej mamy, i pierwszej wizyty w naszym mieście. Drugi zapis jest bardziej złowieszczy, dla naszej rodziny tutaj osiadłej.

– „Dostaliśmy telegram, że Wojciech zmarł. Pojechaliśmy na pogrzeb, rodzice, ja z mężem, brat Stefan już dzień przedtem pojechał. Przyjęła [żona Wojciecha] nas z płaczem, że Wojciech nagle zmarł. Opowiadała, że leżał na tapczanie przykryty spodniami i jak go pocałowała w czoło to dopiero poznała, że nie żyje. Zobaczyłam go dopiero w kostnicy na cmentarzu, był poraniony na twarzy. Szwagier Jóźwiak (mąż najmłodszej siostry mojej mamy Janiny) naliczył, że miał czternaście ran. Ja tylko to zauważyłam, że miał wargę wyrwaną tak, że mu było widać zęby z lewej strony. Podobno żołądek miał cały czarny, oczywiście z wierzchu, na brzuchu. Pogrzeb był po południu. Były też jakieś delegacje. Każda co parę słów przemówili i koniec. Jeden pamiętam, że z przyjaciół z miasta mówił z płaczem, nazywał go kochany kolego i przyjacielu. Po pogrzebie udali my się na dworzec, tylko brat Stefan poszedł do jej mieszkania z nimi. Pochowany jest teraz na Jędrzychowie, ponieważ ten cmentarz gdzie był pochowany został zamieniony na park. Szkoda, że nie żyje, byłoby nas tu więcej, bo był to dobry chłopak". Tak kończy się drobny fragment tego zapisu. Dalej są różne przypuszczenia, że może to z powodu rewizji, że żona zeznała, że ma broń, że znaleziono u niego karabin, że wszechmocne było wtedy UB. Po dzień dzisiejszy sprawa ta jest dla naszej rodziny okryta tajemnicą. Zabiegałem o jej wyjaśnienie. Tadeusz Rynowiecki, prokurator wojewódzki, serdecznie ze mną zaprzyjaźniony, jeszcze zanim przeniósł się do Warszawy, radził mi życzliwie: – „Chłopie daj sobie spokój w tej sprawie". Toteż jedynie artysta plastyk Witek Cichacz odnowił mi metalową tabliczkę przybitą do krzyża. W roku ubiegłym pytałem w Sekcji Historycznej Pionierów, czy ktoś nie zna tej ponurej sprawy. Łaskawie zaangażowała się w wyjaśnienie tej zagadki Pani Prezes, Maria Gołębiowska. Niestety także bez rezultatu. Przeniesienie jego grobu nastąpiło w czasie gdy budowano w Zielonej Górze ciąg komunikacyjny z KW PZPR do Urzędu Wojewódzkiego. Była to „nowa trasa od Wieczorka do Lembasa". Doczekała się nawet fraszki: „Do celu, przez cmentarz PRL-u". Zresztą tych wersji było kilka. Likwidacja cmentarzy należała do polityki i dotyczyło to całego kraju. Likwidację tego cmentarza usprawiedliwiało dynamicznie rozwijające się miasto i potrzeba dogodnej komunikacji pomiędzy ośrodkami władzy. Niemniej trzeba z satysfakcją odnotować decyzję władz miasta, o czym pisze Zbigniew Mazur w pracy zbiorowej pod Jego redakcją – „Wokół niemieckiego dziedzictwa kulturowego na Ziemiach Zachodnich i Północnych" w artykule pt. „Między ratuszem, kościołem i cmentarzem" (Instytut Zachodni 1997 r., s. 333)

– „W Zielonej Górze w Parku Tysiąclecia, powstałym po zlikwidowaniu tzw. cmentarza zielonokrzyżowego, Rada Miejska umieściła w 1994 r. na zachowanej kaplicy cmentarnej, ...płytę przypominającą w nagannym tonie, że istniała tu „jedna z najładniejszych nekropolii o charakterze parkowym na Dolnym Śląsku z dziełami sztuki kamieniarskiej o wybitnych walorach artystycznych". Co więcej, wymieniono na tablicy siedem nazwisk pochowanych tu niegdyś „zasłużonych dla miasta obywateli", odkrywając przy opisie ich działalności zupełnie nieznane dla obecnych mieszkańców epizody z przeszłość Zielonej Góry". Ślad po cmentarzu odnalazł Waldemar Gruszczyński, dziennikarz Gazety Zachodniej, dodatku do Wyborczej (11 I 2001, NR 9) – „Podwórko przy ul. Matejki 13... Tu... leży kilkanaście tablic nagrobnych, resztki ozdobnych kolumienek z rzeźbionymi liśćmi. W ścianę... wmurowano fragmenty nagrobków". Wiesław Myszkiewicz, szef Działu Historycznego Muzeum, przypuszcza, że są to fragmenty z „cmentarza w parku Tysiąclecia". „Nekropolia powstała w połowie XIX wieku. Założona na planie prostokąta, z alejami lipowymi, klonami, wiązami górskimi i dwoma cypryśnikami wyglądała pięknie. Na początku XX wieku podzielono ją na dwie części: katolicką i ewangelicką o nazwie Zielony Krzyż" pisze Waldemar Gruszczyński.

Muszę jeszcze powrócić ponownie w lata pięćdziesiąte. Moja mama wybrała się z Gniezna do Poznania z bardzo ważną wizytą. Ja, już jako student miałem nadać odpowiednią wagę prośbie mojej mamy, skierowanej do Jej bogatego brata Czesława, który na Naramowicach miał duże ogrodnictwo. Chodziło o przeniesienie grobu Wojciecha z Zielonej Góry do Poznania. – „Leży w obcej ziemi, na niemieckim cmentarzu. Człowiek powinien być pochowany wśród swoich" argumentowała. Brat się zgadzał, przyrzekał pomoc, ale na tym się skończyło.

W roku 1956, bezpośrednio po studiach, podobnie jak brat mamy Wojciech, zamieszkałem w mieście jego tajemniczej śmierci. W Gnieźnie, moim rodzinnym mieście pozostały groby mojego ojca i mojej siostry. W każde Zaduszki, to był wyjazd do mojej ojczyzny. Zamówiłem płytę nagrobną łączącą dwa groby i opłaciłem miejsce na cmentarzu do roku 2015. Nie miałem jasnych planów co dalej. Do Zielonej Góry przeniosła się po studiach w Poznaniu, moja siostra wraz z mężem także po poznańskim Uniwersytecie. Moja mama z Gniezna przeniosła się do mojej siostry. Tutaj doczekała się gromadki wnuków. Dwadzieścia lat temu moja mama zmarła. Została pochowana przy ul. Wrocławskiej. Nie wyraziła życzenia, aby Ją pochować w Gnieźnie. Moja żona zamówiła odmawianie codziennie pięć mszy świętych w Misyjnym Seminarium Duchownym Księży Werbistów, w intencji połączenia dusz zmarłych, tych z Gniezna z duszą mojej mamy. W latach dziewięćdziesiątych moja siostra podjęła myśl przeniesienia grobów mojego ojca i siostry, aby ich pochować w mogile naszej mamy. I tak się stało. Moja siostra powiedziała, że spadł jej kamień z serca. Ma teraz wszystkich razem, pod wspólną płytą, zaprojektowaną przez wnuka mojej mamy, artystę malarza, adiunkta Instytutu Sztuki zielonogórskiej uczelni. Ja przez długi czas miałem wątpliwości, czy mój ojciec powstaniec wielkopolski, powinien być przeniesiony do naszego miasta, podobnie jak moja siostra, która zapewne nie wiedziała, że takie miasto istnieje. Teraz z Gniezna nikt mnie nie woła, nie ma tam już moich grobów. Dla moich dzieci i wnuków mojej mamy, te groby tutaj, to jest sprawa normalna. Tak powinno być. Tam gdzie my, tam nasi dziadkowie i rodzice. Kiedyś byłem uczestnikiem wywiadu na temat tożsamości i tradycji. Wyraziłem wątpliwość czy do zakorzenienia wystarczy znajomość historii? Czy można „oprzeć" się na Bolesławie Chrobrym, który w 1005 roku był w Krośnie Odrzańskim, na jego potomku Mieszko II, który podobnie jak ojciec bronił linii Odry, czy na Henryku Brodatym, który zmarł 700 lat temu, czy na pobożności jego małżonki, Świętej Jadwigi? Świadomość historyczna jest żałosną próbą usankcjonowania praw do miejsca wytyczonego przez wojnę. Te granice zawsze mogą zmienić politycy i kolejny konflikt zbrojny. Szczęśliwie, po zmianie ustroju, cała nasza kultura nastawiona została na pokój. Ta filozofia pozwala mieć nadzieję, że przyszłość nie objawi się w formie gwałtownej, śmiertelnej migracji. To myślenie stworzyło podstawy do zachowań obywatelskich, do troski o rodzinę, dbanie o piękno miasta, o jego rozwój i wygodę mieszkańców. Stało się to możliwe w pomyślnie rozwijającym się kraju. Teraz pojawiła się myśl prosta i paradoksalna zarazem. Aby pozostać na stałe wśród swoich, wystarczy po prostu umrzeć. Tak długo jak nie było tutaj naszych grobów, łatwiej było czuć się wolnym od konieczności zachowania pamięci o tym miejscu. Śmiertelna energia grobów jest potężną siłą wśród żywych. Groby stały się częścią tego fundamentu, na którym wsparła się nasza tożsamość. Żywi muszą pozostać na straży tego miejsca. Z perspektywy tysiącletniej historii naszego narodu, życie jest zbyt krótkie, aby nie być razem z naszymi umarłymi.

Jan Muszyński

Opowiadanie o pogodzie

KADRY, ZAPLECZE SOCJALNE I ZADANIA STACJI

Z analizy dotychczasowego stanu zatrudnienia wynika, że w latach 1945-1960 na stanowisku kierownika stacji następowały częste zmiany (tablica 2). W okresie 15 lat zmieniło się aż sześciu kierowników. Głównym powodem tego stanu były trudności kadrowe. Na 42 pracowników, którzy pracowali na stacji w ostatnich 55 latach, 10 osób pracowało niepełny rok, od roku do dwu lat – 11 osób, od dwu do trzech lat – 8, od trzech do pięciu lat – 6 osób, od pięciu do piętnastu lat – 2 osoby i powyżej 25 lat – 5 osób. Jak wynika z tego zestawienia do dwóch lat pracowała połowa ogólnej liczby pracowników w omawianym okresie. Wielokrotne próby skompletowania składu załogi spośród przyuczanych do zawodu miejscowych pracowników nie powiodły się. Na przeszkodzie stały głównie trudne warunki pracy na stacji z uwagi na dyżury nocne oraz w niedziele i święta oraz stosunkowo niskie wynagrodzenie.

Wówczas została podjęta decyzja stworzenia korzystnych warunków socjalno-mieszkaniowych i przeniesienia do Zielonej Góry wypróbowanych pracowników z innych stacji. Decyzja okazała się słuszna, obecna załoga Stacji, mimo, że pochodzi z innych rejonów kraju, uległa scementowaniu i dobrze służyła miastu – Zielonej Górze, którą uznała za swoją. To, że w minionym 55-leciu udało się utrzymać z małymi wyjątkami ciągłość pracy zawdzięczamy kilku pracownikom, którzy przepracowali na stacji więcej niż 25 lat.

Oto oni:

– **Władysław Galicki** – ponad 25 lat pracy w najtrudniejszych latach 1948-1975 do czasu przejścia na emeryturę;

– **Aleksander Górny** – ponad 33 lata pracy w latach 1963-1996 – do emerytury (pozyskany ze stacji w Resku);

– **Danuta Janiuk** – ponad 29 lat pracy od roku 1971- aktualnie kierownik stacji (pozyskana ze stacji w Koszalinie);

– **Antonina Salewicz –** ponad 27 lat pracy, do czasu przejścia na emeryturę (pozyskana ze stacji aerologicznej we Wrocławiu).

W gronie tym znalazł się również autor tego opracowania – **Ryszard Krassowski** – 38 lat pracy, do czasu przejścia na emeryturę – były pracownik stacji aerologicznej i lotniskowego biura meteorologicznego we Wrocławiu.

Tablica 2. Kierownicy Stacji Meteorologicznej w Zielonej Górze w latach 1878-2000

Nazwisko i imię	Funkcję kierownika stacji		
	objął	zdał	Staż
Dr Samter Leopold	koniec 1877	15.12.1900	23
Wachter Rudolf	koniec 1900	kwiecień 1924	24
Wittek Karol	kwiecień 1924	(1939)	(15)
Czechowicz Edmund	10-11-1945	6-11-1949	4
Nowakowski Franciszek	6-11-1949	31-03-1951	p.o. 1,5
Sulikowski Władysław	31-03-1951	15-06-1952	1
Szczygielski Wacław	15-06-1952	15-11-1955	3,5
Kozłowski Konrad	26-11-1955	11-08-1958	3
Ręczkowski Zygmunt	12-08-1958	31-06-1960	2
Krassowski Ryszard	15-09-1960	7-09-1998	38
Janiuk Danuta	7-09-1998	do chwili obecnej	

ZAPLECZE SOCJALNE

W latach 1945-1960 działalność w zakresie zapewnienia podstawy do pracy i życia załogi sprowadzała się do utrzymania tego, co otrzymano – bez tendencji zmian.

W latach 1960-1973 i 1976-1978 prowadzone były stałe prace modernizacyjne w budynku IMGW przy ul. Braniborskiej 9. Podłączono wodę, gaz, zainstalowano c.o. W ramach modernizacji budynku wygospodarowano pomieszczenia na trzy łazienki i dwie kuchnie. Wymieniono całe umeblowanie w pomieszczeniach służbowych. Całą posiadłość IMGW ogrodzono. Lata 1973-1975 przyniosły budowę nowego obiektu stacji, zlokalizowanego przy ul. Struga 1A. Nowy obiekt jest funkcjonalny, dobrze wyposażony w sprzęt oraz przyrządy i stworzył pomyślne warunki pracy.

SZKOLENIE KADRY

Jednym z istotnych zadań załogi stacji jest aktywny udział w szkoleniu pracowników dla innych komórek Instytutu. W latach 1966-2000 praktykę na stacji odbyło 55 osób, z tego 9 osób to kandydaci na inspektorów Ośrodka Głównego i Oddziałów oraz kierownicy stacji, 14 osób – studenci uniwersytetów i politechnik, 32 osoby – uczniowie Technikum Gospodarki Wodnej w Dębem.

Od chwili przejęcia wyposażenia stacji od miejscowych władz, stacja podlegała Oddziałowi PIHM w Łodzi. W dniu 20-07-1947 przekazana została Oddziałowi PIHM w Poznaniu. Od 2-02-1954 stacja podlega Oddziałowi we Wrocławiu.

100-LECIE OBSERWACJI METEOROLOGICZNYCH W ZIELONEJ GÓRZE

W roku 1978 Stacja Meteorologiczna w Zielonej Górze obchodziła setną rocznicę obserwacji meteorologicznych. Z tej okazji Oddział Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej we Wrocławiu zorganizował sesję naukową, na której zaprezentowano wyniki prac badawczych Instytutu na terenie miasta Zielona Góra i województwa zielonogórskiego. Sesja odbyła się 27-10-1978 roku w Sali Dębowej Biblioteki Wojewódzkiej w Zielonej Górze. W programie sesji, której przewodniczył prof. dr hab. Stanisław Kołaczkowski zaprezentowane zostały zagadnienia historii badań i osobliwości klimatu Zielonej Góry i okolic jak również problemy hydrologiczne i gospodarki wodnej. Wygłoszono 10 referatów, które spotkały się z dużym zainteresowaniem zarówno władz jak i środowiska naukowego Zielonej Góry. W sesji uczestniczyli również reprezentanci środowisk naukowych Wrocławia, Poznania i Szczecina. Ogółem w sesji brało udział około 150 uczestników.

W salach Biblioteki Wojewódzkiej miała miejsce towarzysząca sesji wystawa wydawnictw naukowych i technicznych IMGW. Prezentowano również meteorologiczną aparaturę pomiarową. Wystawę zwiedziło około 700 osób.

AKTUALNE ZADANIA STACJI

Stacje meteorologiczne stanowią podstawową część meteorologicznej sieci obserwacyjnej Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Na wynikach obserwacji wykonywanych na stacjach meteorologicznych opiera się działalność państwowej służby hydrologiczno-meteorologicznej. Wyniki obserwacji służą przede wszystkim do: prognozowania pogody, osłony lotnictwa, obsługi różnych dziedzin gospodarki jak rolnictwo, leśnictwo, budownictwo, żegluga, gospodarka komunalna, transport itp. Służba zaspokaja potrzeby różnych instytucji jak: wojsko, sądownictwo, instytuty naukowo-badawcze, wyższe uczelnie, a także potrzeby osób prywatnych. Na podstawie wyników obserwacji stacji meteorologicznych powstają opracowania naukowe z dziedziny meteorologii, klimatologii, hydrologii, gospodarki wodnej.

Dane meteorologiczne dla celów służby pogody podaje się co godzinę w postaci zaszyfrowanych depesz cyfrowych w celu umożliwienia szerokiej i sprawnej wymiany, zarówno krajowej jak i międzynarodowej. W przypadku wystąpienia szczególnie groźnych zjawisk meteorologicznych sporządza się dodatkowe depesze ostrzegawcze, po ustąpieniu zjawiska – depesze odwoławcze. Są one przekazywane do ustalonych odbiorców. Do zjawisk takich zaliczamy m. in. burze, słabą widzialność, silne wiatry, ulewne opady, gołoledź itp. Ponadto dokonuje się opracowywania danych w postaci wykazów miesięcznych materiałów pomiarowo-obserwacyjnych przeznaczonych dla celów klimatologicznych. W ramach przyjętych przez Instytut zleceń wykonywane są również dodatkowe obserwacje dla potrzeb innych jednostek naukowych. Stacja prowadzi badania nad przydatnością nowych przyrządów przewidzianych do wprowadzania w sieci stacji meteorologicznych. Bierze czynny udział w zbieraniu meldunków z wyznaczonych posterunków meteorologicznych i hydrologicznych oraz ich przekazywaniu do wykorzystania. Pośredniczy również przy rozprowadzaniu meldunków i prognoz z Biura Prognoz we Wrocławiu do odbiorców na terenie miasta i województwa lubuskiego. Stale udzielane są odbiorcom informacje o stanie pogody na terenie Zielonej Góry. Placówka nasza pod nadzorem Oddziału IMGW we Wrocławiu uczestniczy w opracowywaniu ekspertyz z zakresu przebiegu pogody oraz ustalaniu warunków klimatologicznych dla danego terenu. Udzielamy również porad instytucjom i szkołom, które zakładają u siebie posterunki meteorologiczne. Popularyzujemy wiedzę z zakresu meteorologii.

Ryszard Krassowski

Krzesiński Park Krajobrazowi został utworzony rozporządzeniem nr 12 Wojewody Zielonogórskiego z dnia 10 lipca 1998 r., jako trzeci Park po Łagowskim i Gryżyńskim w ówczesnym woj. zielonogórskim. Ogólna powierzchnia to 8546 ha, z czego 4770 ha położone jest w gminie Gubin, 1897 ha w gminie Cybinka i 1879 ha w gminie Maszewo, powiatu krośnieńskiego. Lasy administrowane są przez nadleśnictwa w Cybince i Gubinie. Park obejmuje głównie teren Doliny Środkowej Odry, ograniczonej od północy i północnego wschodu Pojezierzem Lubuskim (Równiną Torzymską), od południa Wzniesieniami Gubińskimi i od południowego zachodu Doliną Dolnej Nysy.

W granicach Parku znajdują się tylko dwie miejscowości Kłopot i Krzesin, a na obrzeżach Rąpice, Bytomiec, Miłów, Rybaki, Połęcko, Chlebowo, Żytowań i Kosarzyn. Na obszarze Parku i obrzeżach nie ma żadnego przemysłu, a uprawy rolne występują na niewielkiej powierzchni.

W skład Parku wchodzą:

1) grunty leśne – 3.547 ha (41,5%);

2) grunty orne – 1.486 ha (17,4%), obecnie są to przeważnie nieużytki;

3) użytki zielone – 2.906 ha (34,0%), większość nie jest wykorzystywana dla celów hodowlanych i pokrewnych;

4) wody powierzchniowe – 571 ha (6,7%);

5) tereny zainwestowane – 36 ha (0,4%).

Obszar parku charakteryzuje się dużymi wartościami krajobrazowymi i przyrodniczymi. Różnorodnie ukształtowany teren, porośnięty mieszanymi drzewostanami oraz rozległe widoki stwarzają niezapomniane wrażenie. W drzewostanach najczęściej występuje sosna (90%), pozostałe gatunki to m.in. dąb, brzoza, buk, lipa, akacja oraz wierzba, topola, olsza rosnące na terenach podmokłych w dolinach cieków i akwenów. Wiek niektórych drzew liściastych dochodzi do 150-200 lat i zasługują one na ochronę. Lasy ze względu na urozmaicone runo zasobne są w jagody i grzyby. Duże zalesienie, nikła penetracja człowieka i bliskość wodopoju sprzyjają ostoi licznej populacji większej i mniejszej zwierzyny oraz gniazdowaniu różnych ptaków. Spotkać można gatunki chronione, jak orzeł bielik, bocian czarny, lelek kozodój, żuraw, derkacz, ryjówka, jelonek rogacz, kozioróg. Z roślin objętych ochroną przyrody rosną m.in. widłaki, paprotki, grzybienie północne, konwalie majowe i inne zalegające podmokłe łąki. Znaczną część obszaru Parku po obu stronach Odry stanowią łąki zwane łęgami. W czasie wyższych stanów rzeki ulegają one zalaniu. Koło Krzesina rozciąga się unikatowy, niepowtarzalny teren nazywany Krzesińskim Basenem Retencyjnym przeznaczony do zalania, jako naturalny zbiornik w razie wyższych stanów wody Odry. Wał p-powodziowy posiada na długości 50 m specjalne obniżenie umożliwiające przepływ wody. Teren ten o powierzchni około 1.500 ha nie był wykorzystywany co najmniej przez 60 lat dla celów hodowlano-rolniczych. Jest on podmokły, bagnisty z licznymi oczkami, porośnięty częściowo drzewami, krzewami i niższymi roślinami. Powódź w 1997 r. dotknęła obszar otaczający Odrę. Woda zalegała średnio dwa miesiące. Na drzewach na wysokości 1,0-1,5 m widoczne są obwódki po wodzie. Część drzew i mniejszych roślin niestety usycha. Po prawej stronie Doliny Odry, od Krosna Odrzańskiego i obok Połęcka, Rybak, Milowa, Bytomca, Krzesina po Białą Górę koło Gąsiorowa, ciągnie się pasmo wzniesień, stanowiące skraj Doliny. Na terenie Parku są dwa pasma. Pierwsze od Połęcka po Miłów, długości 5 km o dużych różnicach poziomów (30-40 m), stromo opadające ku Odrze, zwane Odrzańskimi Tarasami. Najwyższe wzniesienie nazywane jest Maszewską Górą. Drugie niższe pasmo w kształcie łuku, ciągnące się od Miłowa po Białą Górę, nazywane jest Łęgowymi Tarasami. W tym miejscu dolina rozszerza się do 3 km.

Wody powierzchniowe na terenie Parku zajmują bardzo dużą powierzchnię (6,7%). Są one jednym z głównych składników środowiska przyrodniczo-geograficznego i w decydujący sposób wpływają na życie w przyrodzie. Nadają one krajobrazowi swoistego uroku.

Na obszarze parku znajdują się:

1. Cieki

• Odra, druga co do wielkości rzeka w Polsce, wypływa w Czeskich Górach Oderskich (Sudety) na wysokości 634 m n.p.m. i uchodzi do Zalewu Szczecińskiego, Bałtyku. Jej długość 854 km, w granicach Polski – 742 km. Początkowo ma charakter rzeki górskiej, po minięciu Bramy Morawskiej zmniejsza spadek. W połowie XIX w. w celu zabezpieczenia terenów nadrzecznych przed niszczycielskim działaniem wody (powodzie), zwiększenia szybkości rzeki i ułatwienia żeglugi przeprowadzono jej regulację. Polegała ona na wyprostowaniu nadmiernie występujących serpentyn (zakoli), poszerzeniu zwężeń i pogłębieniu koryta. Aby zabezpieczyć brzegi przed wylewem wody wybudowano wzdłuż rzeki wały ziemne, a koryto zabezpieczono tzw. główkami (ostrogami) wyłożonymi kamieniami. Ta bardzo kosztowna operacja spowodowała skrócenie Odry o prawie 180 km. W czasie regulacji od Koźla do Brzegu Dolnego Odra została skanalizowana. Na odcinku 186 km wybudowano 23 stopnie wodne (różnica poziomu wody 64 m). Nie dało to żadnych gwarancji zabezpieczenia przed większym napływem wody, a wręcz przeciwnie, ułatwia rozlewanie się rzeki (mniejsza powierzchnia koryta, szybszy bieg rzeki itp.). Odra na odcinku 160 km jest rzeką graniczną między Polską a Niemcami, a 28 km płynie przez Park.

Stanowi najlepszą w Polsce drogę wodną. Największym problemem żeglugi są w okresach braku opadów niskie stany wody i malejące zapotrzebowanie na tego rodzaju transport. Wiele lat zaniedbań w zakresie ochrony środowiska sprawiło, że korytem rzeki płynie woda pozaklasowa. W ostatnich latach większa dbałość o środowisko naturalne doprowadziła do zmniejszenia zanieczyszczeń i należy mieć nadzieję na dalszą poprawę. Mimo występujących jeszcze zanieczyszczeń obserwuje się zwiększenie ilości różnych gatunków ryb.

• Nysa Łużycka przez 8 km płynie wzdłuż Parku.

Wypływa z Gór Izerskich na terenie Czech na wysokości 780 m n.p.m. w rezerwacie Klicowa Lonka. Długość rzeki wynosi 251,8 km, w tym 54 km w Czechach. Opuszcza Czechy na wysokości 230 m n.p.m. poniżej miasta Hrodek i płynie przez Zagłębie Turoszowskie, Bory Dolnośląskie, Gubin. Wpada do Odry na wysokości 33 m n.p.m. koło wsi Kosarzyn. Przez 198 km środkiem Nysy Łużyckiej biegnie polsko-niemiecka granica państwowa aż do ujścia. Rzeka płynie w wąskiej, obwałowanej dolinie, brzegi jej porastają przeważnie zarośla wierzbowe i często okazałe drzewa liściaste. Szerokość koryta wynosi w okolicach Gubina od 15 do 20 m. Głębokość jest zmienna od kilkudziesięciu centymetrów do kilku metrów, zaliczana jest do cieków o charakterze górskim i z powodu znacznego spadku wybudowano na jej biegu 32 jazy i 54 progi denne (13 spiętrzeń wykorzystywanych jest do celów energetycznych m.in. Elektrownia Wodna w Gubinie).

• Łomianka – wypływa spod Nowego Raduszcza, płynie doliną Odry i uchodzi do Odry koło Kosarzyna. Długość 28 km, średnia szerokość 3 do 7 m w dolnym biegu, głębokość 0,5 do 1,5 m.

• Kanał (potok) Krzesiński wypływa spod Rybak, płynie przez basen retencyjny i wpada do jeziora Krzesińskiego. Długość 8 km.

2. Akweny

• Jezioro Borek koło Kosarzyna o powierzchni 63,7 ha, głębokości 8 m, długości 1.560 m i szerokości 630 m;

• Jezioro Krzesińskie (Nisko) koło Babiej Góry, o wydłużonym kształcie, powierzchni 15 ha i średniej głębokości 1.5 m;

• Jezioro Głębno, o powierzchni 8,5 ha i głębokości 4,5 m;

• Jezioro Bagienne, o powierzchni 2,4 ha;

oba jeziora, otoczone lasami znajdują się między Kosarzynem, a Chlebowem;

• Jezioro Leśne (Rępickie) koło Rępic, o powierzchni 2,8 ha i głębokości do 5 m.

Sieć wodną uzupełniają małe jeziorka, oczka oraz niedługie cieki (potoki) i rowy odwadniające.

3. Miejscowości

Krzesiński Park Krajobrazowy z otuliną (obrzeżami) zamieszkuje nieduża ilość mieszkańców.

1) Połęcko (395 mieszk.), położone na wyższym tarasie doliny, wzmiankowane w 1277 r. jako Polenczko, wchodziło w skład klucza ziemskiego Cystersów w Lubiążu. Jeszcze w XX w. były tu widoczne ślady wczesnośredniowiecznego grodziska zniszczonego przy okazji prac ziemnych. Poza bogatą historią, Połęcko znane jest również jako:

• stała przeprawa przez Odrę dla pojazdów i pieszych, czynna przez cały rok;

• miejsce wydobycia ropy naftowej z odwiertu o wydajności 5 ton na dobę (w latach 1960-1980 wydobywano ropę z szybów w Rybakach i Połęcku do 100 ton na dobę), złoża zostały jednak znacznie wyczerpane;

• stacja pomiaru wody (wodostan w Połęcku codziennie podawany jest za pośrednictwem polskiego Radia).

2) Rybaki (474 mieszk.). Godnym obejrzenia jest kościół z 1677 r. o konstrukcji szachulcowej, jednonawowy z wystrojem barokowym, z interesującymi malowidłami na emporach.

3) Miłów (165 mieszk.).

4) Bytomiec (150 mieszk.).

5) Krzesin (82 mieszk.), położony przy basenie retencyjnym.

6) Rąpice (565 mieszk.), znajduje się tu dwór z XIX w. murowany z cegły, prostokątny, parterowy.

7) Kłopot (160 mieszk.), przy szosie Maszewo–Cybinka, podobnie jak powyższe miejscowości Kłopot stanowi dużą atrakcję turystyczną. Jest tu jedno z największych siedlisk w Polsce i Europie bociana białego. Niektóre gospodarstwa we wsi mają po dwa, a nawet trzy gniazda. W najbliższym czasie powstanie we wsi muzeum poświęcone bocianom oraz mały hotelik. Od Kłopotu do Odry odległość wynosi 1,5 km. Na rzece znajduje się uszkodzony w 1945 r. most, który łączył Kłopot z Fürsten Berg. W pobliżu na Odrze i łęgach gospodarstwa hodowlanego „Pekpol" w Bieganowie każdego roku zimuje duże skupisko łabędzi.

8) Chlebowo (562 mieszk.), przy szosie z przeprawy promowej w Połęcku i szosie z Wałowic. Wieś znana pierwotnie jako Niemaszchleba, w źródłach pojawia się w 1305 r. Do XVII w. stanowiła silny ośrodek słowiański. Po wojnie nadal używano nazwy Niemaszchleba, ale z inicjatywy mieszkańców zmieniono ją na Chlebowo. We wsi jest kościół murowany z kamienia i cegły, gotycki, zbudowany w XIII w., wielokrotnie przebudowywany.

9) Łomy (165 mieszk.), przy szosie Clebowo–Kosarzyn.

10) Kosarzyn (82 mieszk.), przy szosie Chlebowo–Gubin, nad jez. Borek z czterema ośrodkami wypoczynkowymi. Obok Kosarzyna znajduje się:

• ujście do Odry Nysy Łużyckiej;

• rzadko spotykane na Odrze zakole koryta rzeki w kształcie podkowy z podmokłymi łąkami, noszące nazwę Szydłowickie Okopy. Nazwa związana jest ze zdarzeniem, jakie miało miejsce 6 kwietnia 1629 r. podczas lokalnej wojny handlowej między Gubinem a Krosnem. W tym dniu doszło do napadu statków gubińskich na statki krośnieńskie oraz krwawej walki rzecznej i pieszej. Przyczyną bitwy była chęć opanowania szlaku wodnego do Szczecina i Bałtyku;

• obelisk ku czci żołnierzy WOP, miejsce śmierci Zenona Chłąda, który tu zginął w czasie strzeżenia granicy;

• stacja pomp na rzece Łomianka i tzw. „konik", szyb wydobywania ropy naftowej. Stacja i Obelisk znajdują się przy wale p-powodziowym.

4. Komunikacja

Na omawiany teren zmotoryzowani i kolarze mogą dojechać asfaltowymi drogami:

1. Z Zielonej Góry przez Leśniów Wielki, Dąbie, Krosno Odrz. i dalej:

• Osiecznica, Maszewo, Rybaki, Rąpice, Kłopot;

• Osiecznica, Maszewo, Połęcko (przeprawa promowa), Chlebowo, Łomy, Kosarzyn, Żytowań;

• Dzikowo lub Gubin, Wałowice, Chlebowo, Łomy, Kosarzyn.

2. Z Gubina przez:

• Budoradz, Żytowań, Kosarzyn, Łomy, Chlebowo;

• Wałowice, Chlebowo, Łomy, Kosarzyn.

Dotarcie publicznymi środkami komunikacyjnymi nie jest zbyt dogodne, ale umożliwia dojazd rano i powrót wieczorem.

Z Zielonej Góry można dojechać PKS-em przez Leśniów Wielki, Dąbie do Krosna Odrz. i dalej Osiecznicę, Maszewo, Rybaki do Kłopotu lub z Krosna Odrz., Wałowic do Gubina i na teren Parku.

PKS kursuje z Gubina przez Budoradz (lub Wałowice), Żytowań, Kosarzyn, Łomy, Chlebowo.

Kursują także pociągi z Zielonej Góry przez Krosno Odrz., Wałowice do Gubina. Pociągi odjeżdżają rano i po południu wracają. Z Wałowic można dojechać PKS-em na teren Parku. Przed skorzystaniem z usług PKP i PKS-u należy upewnić się jakie połączenia są w danym dniu.

5. Turystyka

Krzesiński Park Krajobrazowy jest ciekawym, atrakcyjnym, mało znanym terenem dla amatorów wędrówek, spływów. Turyści kajakarze mogą skorzystać z granicznej Nysy Łużyckiej i Odry. Spływ rzekami granicznymi i wędrówka piesza wzdłuż granicy wymagają zgody Straży Granicznej (Strażnica w Żytowaniu, tel. 359-30-40). Kolarze mogą poruszać się po drogach utwardzonych i przejezdnych nie utwardzonych. Natomiast piesi mają nieograniczone możliwości poruszania się po całym terenie. Dla ułatwienia wybrania tras pieszych po Parku można skorzystać z propozycji wycieczek. Propozycje niżej wymienione nie mają charakteru szczegółowego omówienia tras, lecz wskazują gdzie warto i trzeba się wybrać.

1. Wałowice – jezioro Borek – Kosarzyn (11 km).

• Wałowice PKP, przez wieś, po minięciu hodowli koni i poczty w lewo drogą wśród łąk i lasów do jez. Borek i dalej koło DW „Oaza" i pola namiotowego do Kosarzyna.

2. Jezioro Borek (6 km).

• Kosarzyn PKS, ścieżką wokół jeziora Borek otoczoną mieszanym drzewostanem obok DW „Nad Borkiem", DW „Wojskowego", DW „Oaza", pola namiotowego do Kosarzyna PKS.

3. Kosarzyn – Nysa Łużycka – Odra – Chlebowo (14 km).

• Kosarzyn PKS, drogą w stronę wału p-powodziowego i po przejściu wału w lewo do ujścia Nysy Łużyckiej do Odry i z powrotem do wału i dalej w lewo wałem wzdłuż Odry, obok stacji pomp do drogi w prawo przez łęgi do Chlebowa.

Wędrówkę można skrócić wracając:

• od ujścia Nysy Łużyckiej do Kosarzyna (4 km);

• od stacji pomp do Kosarzyna (7 km);

• od wału przez most na Łomiance i drogą przez łęgi do Łom i Kosarzyna (11 km).

4. Chlebowo – przeprawa promowa – Połęcko – Odrzańskie Tarasy – Rybaki (7 km).

• Chlebowo, drogą asfaltową (lub drogą przez łęgi) do przeprawy promowej, przeprawa przez Odrę i z Połęcka drogą polną w lewo do wzniesień – Odrzańskich Tarasów, dalej jedną z dróg otoczonych mieszanym drzewostanem do Rybak.

5. Maszewo (lub Połęcko wzg. Rybaki) – Odrzańskie Tarasy – Dolina Odry – Kłopot (22 km).

Odrzańskimi Tarasami do wału p-powodziowego otoczonego liściastym drzewostanem, wałem wzdłuż Odry do drogi przez basen retencyjny i drogą do Krzesina, dalej w lewo ścieżką przez Łęgowe Tarasy (lub dołem wzdłuż Jeziora Krzesińskiego) do Białej Góry, ponownie do wału i wałem obok dębu „Janina" oraz drogą do Kłopotu. Wędrówkę można skrócić wracając:

• do Milowa wzdłuż wzniesień (8 km);

• do Krzesina i szosy Maszewo – Kłopot (12 km);

• do Rąpic od Białej Góry drogą leśną (18 km);

Można także przyjąć inny wariant dojścia i powrotu.

6. Kłopot – Dolina Odry – Bieganów – Cybinka (14 km).

• Z Kłopotu w kierunku Odry, wałem w prawo (lub drogą wzdłuż wału) do Rybojedzka (zakład „Pekpolu") i drogą przez łęgi do Bieganowa, dalej drogą asfaltową do Cybinki (lub obok sklepu i boiska sportowego wytyczoną ścieżką przyrodniczo-leśną przez las z mieszanym drzewostanem.

6. Żywienie i noclegi

Baza żywieniowo-noclegowa na terenie Parku i obrzeżach jest nieliczna i skromna, szczególnie po prawej stronie Odry. Podstawowe artykuły spożywcze i zimne napoje można kupić w każdej miejscowości w sklepach ogólnospożywczych stałych lub obwoźnych. Nie ma restauracji i barów z gorącymi posiłkami. Rolę gastronomii częściowo spełniają stołówki i bufety ośrodków wypoczynkowych.

Przenocować można:

1. Po lewej stronie Doliny, nad jeziorem Borek;

• OW „Nad Borkiem" tel. 359-43-92;

• OW „Wojskowy" tel. 359-31-04, w. 2242;

• OW „Oaza" tel. 090-550-718.

2. Po prawej stronie Doliny, na obrzeżach, poza Parkiem:

• OW „Bajka" w Lubogoszczy tel. 383-70-92;

• „Wyczółkowo" w Wyczółkowie koło Granic tel. 382-13-82.

Powyższe ośrodki przechodzą restrukturyzację i zmieniają właścicieli.

Krzesiński Park Krajobrazowy ze względu na unikatowe walory krajoznawczo-przyrodnicze, szczególnie po prawej stronie Odry, jest terenem, który trzeba koniecznie zobaczyć.

Jerzy Łatwiński

Przedwojenne ciekawostki przyrodnicze okolic Zielonej Góry

ciąg dalszy

Słone *Schloln*

Przy wjeździe na działkę przy zabudowaniach Słone nr 2 rósł dąb (nr 71) o obwodzie 5,30 m.

Po zachodniej stronie działki należącej do Słonego nr 10 rosła duża lipa (nr 72) o obwodzie 1,80 m i wysokości ok. 18 m. Gruhl pisze, że choć pień nie był zbyt gruby to korona drzewa była wspaniale rozrośnięta i widoczna z daleka.

Przylep *Schertendorf*

100 m na północ od nasypu linii kolejowej Zielona Góra-Czerwieńsk rósł przy samotnym gospodarstwie jałowiec (nr 73) o wysokości aż 9,50 m i obwodzie 60 cm.

Gruhl pisze, że była to piękna odmiana stożkowata. Według niego był niszczony przez ludność. Zbierano gałęzie w czasie świąt *Todaussingen*.

Świdnica *Schweinitz*

Przy dawnej gminnej kopalni żwiru przy drodze do Słonego rósł dąb (nr 74) o obwodzie 4,80 m zwany „misyjnym".

Wilkanowo *Wittgenau*

Przy drodze (na południe od starej drogi na Słone), po północnej stronie stodoły należącej kiedyś do gospodarza Frenzel'a, rosła lipa (nr 75), która rozwidlała się na niedużej wysokości na 6 pni. Ze swym obwodem 5,05 m była uznana za najgrubszą lipę w powiecie. Było to piękne rozłożyste drzewo widoczne z daleka.

Ługowo *Wilhelminenthal*

Przy drodze na Droszków w odległości ok. 200 m od gospody rósł jałowiec (nr 76) o wysokości 7 m i obwodzie 49 cm, piękna stożkowa forma.

Wysokie *Woitscheke*

Około 100 m na wschód od szosy Łężyce-Wysokie, przy wejściu do zagrody Idy Tschischke (ludzie, można przejść do historii dzięki pomnikowi przyrody – dbajcie o swoje drzewa) rosła lipa (nr 77). Z informacji uzyskanych od pani Idy o jej przodkach (wywiad Gruhl'a) można było precyzyjnie określić, że lipa miała ok. 200 lat w 1936 roku. Jej obwód wynosił 1,25 m, a na niewielkiej wysokości rozwidlała się na trzy pnie.

Nowy Kisielin *Deutsch-Kessel*

W północno-wschodniej części parku zamkowego rósł świerk (nr 78) o wspaniałym i nietypowym kształcie. W dolnej części posiadał liczne gałęzie łukowato wygięte w górę i zachodzące na siebie. Gruhl zalicza go do najbardziej niezwykłych pomników przyrody naszego powiatu. W roku 1936 miał wysokość ok. 20 m i obwód 3,80 m. Uznany był za najgrubszy i najokazalszy świerk w powiecie.

Tak to kiedyś wyglądało w powiecie zielonogórskim. A teraz naprzód w teren. Nagroda czeka. Kto znajdzie stary, zapomniany pomnik przyrody. Niech odzyska swój dawny blask. Dzwońcie do Ligi Ochrony Przyrody w Zielonej Górze na nr 3272008.

Leszek Jerzak
Liga Ochrony Przyrody w Zielonej Górze

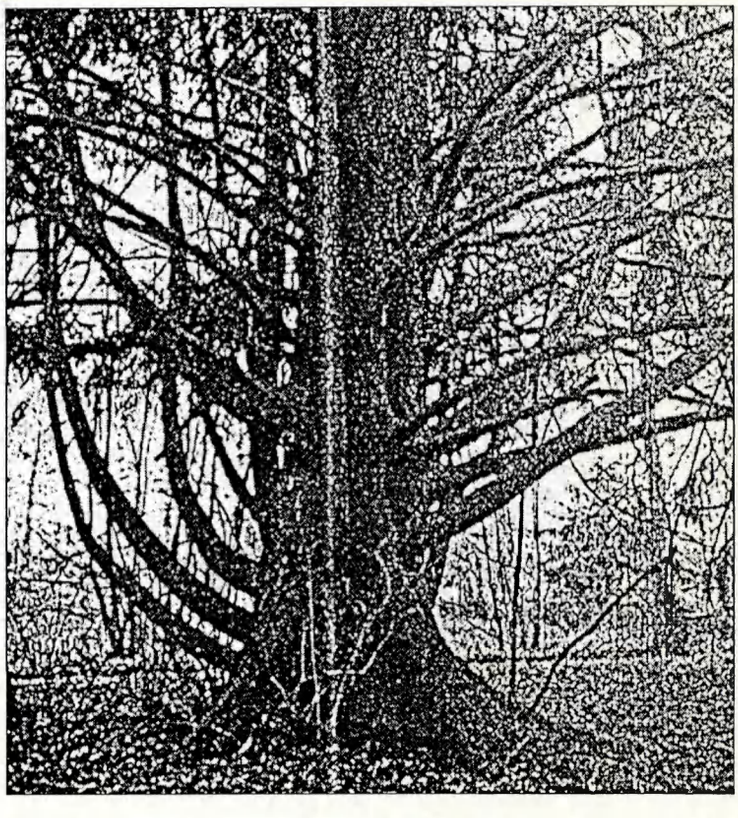

Świerk w parku zamkowym Nowy Kisielin